AS



FOTOMONTAŻ J. M. BRZESKI

ARMJA SYMBOLEM NIEPODLEGŁOŚCI

Eskadra polskich bombowców w locie.

Nr. 46 13 XI

JOANNA RZUCHOWSKA



Emilja Plater.

Kobiety powstania listopadowego



Klaudyna Potocka.

Nigdy może w dziejach Rzeczypospolitej gorące umiłowanie Ojczyzny i ofiarność kobiety polskiej nie wybuchły tak wspaniałym płomieniem, jak w okresie powstania listopadowego i emigracji popowstaniowej.

Wiemy, że w chwili, gdy walka wrzała, nie modłami, nie płaczem dowodziły kobiety polskie swej ku Ojczyźnie miłości, lecz czynami.

Powstanie, to walka orężna, dlatego też czyn orężny kobiety — rzecz w Polsce do lat owych nieznana — przysłonił wszystkie inne wielkie pracownice, owe ciche bohaterki lazaretu z tego okresu. Kobietą, która umiała w obronie polskości dobyć szabli, umiała przejść przez krwawy trud partyzanckiej walki — nieugięta i bez hańby poddania się umrzeć pod strasznym ciosem wieści o upadku powstania — jest Emilja Plater. — Romantyczna legenda otuliła ją w płaszcz sławy polskiej Joanny d'Arc, sławy tak wielkiej, że dziś, gdy każde dziecko w Polsce wie, kto jest owa „Litwinka, dziewica-bohater", zapomina się o innych wybitnych postaciach kobiecych, uczestniczących w walce. A przecież u boku Platerówny walczyła dzielnie w randze porucznika Marja Raszanowiczówna, zaś młodziutka pensjonarka — kawalerzystka, Antonina Tomaszewska za szaleńczą odwagę, wykazaną w szarży swego szwadronu na pułk czerkieski też otrzymała stopień porucznika. — Wszak podlotek jeszcze, Wilhelmina Kasprowiczówna, mszcząc na Moskalach bestjalskie wymordowanie całej swej rodziny, walczyła dzielnie w paru partyzanckich oddziałach, potem pod Dembińskim, by zginąć w końcu od kuli nieprzyjacielskiej nieomal u wrót Wilna. Nie tylko młode entuzjastki stawały do walki z wrogiem: stara księżna Ogińska, też ród swój z Platerów wywodząca, przez cały czas kampanji, przez wszystkie trudy podjazdowej walki, nie odstępowała męża. I wiele innych, których nazwisk dzieje nam nie przekazały.

Zazwyczaj jednak legenda, otaczając czyjeś skronie aureolą sławy, rzuca cień na drugich. W tej smudze cienia znalazły się zaś tu zarówno inne bojowniczki powstania, jak jego wielkie ofiarnice, bohaterki promienne, które nie na polu walki, lecz w ambulansie lub szpitalu cudów poświęcenia dokonywały. Wiele ich było w każdej okolicy, dokąd powstanie dotarło, lecz z tego bezimiennego legjonu wybierzmy i skreślmy pokrótce sylwetki trzech tylko Wielkich Samarytanek polskich: Klaudyny z Działyńskich Potockiej, Emilji Sczanieckiej i Klementyny z Tańskich Hoffmanowej.

Hoffmanową znamy skądinąd: z jej działalności pisarskiej i pedagogicznej. W chwili wybuchu powstania kobieta ta, licząca ponad lat czterdzieści i nie entuzjazmująca się bynajmniej przywódcami rewolucji, porzuca jednak pracę, związaną ze stanowiskiem wizytatorki wszystkich szkół żeńskich w Warszawie, by oddać się niepodzielnie zakładaniu szpitali i opiece nad rannymi. Organizuje i staje na czele Towarzystwa Dobroczynności Patrjotycznej Warszawianek i otoczona sztabem pracownic przez długie miesiące żywi i pielęgnuje tysiące rannych i chorych powstańców. Mimo możności pozostania w Warszawie na dawnem stanowisku, pośpiesza po upadku powstania za mężem na tułaczkę, by w Dreźnie, czy w Paryżu nie ustawać w pracy nad utrzymaniem i szerzeniem polskości, zwłaszcza wśród młodego pokolenia.

Inny nieco typ stanowi Emilja Sczaniecka. Bogata dziedziczka wielkopolska, tak wyżywała się w działaniu, w ratowaniu prześladowanych patrjotów, w wspieraniu biednych, w zbieraniu składek (nawet na pomoc dla Greków, walczących o niepodległość), że ochoty i czasu nie stało na szczęście własne, na zamążpójście. Gdy wybucha powstanie, wspólnie z Klaudyną Potocką funduje pułk jazdy poznańskiej, następnie pracują razem w lazaretach warszawskich. Jak wielkie było jej poświęcenie, świadczy o tem fakt, że w swym długim żywocie znów stanęła przy łożu szpitalnym w czasie powstania styczniowego. Uczcił zdarzenie to Lenartowicz w wierszu „Siostra szpitalna", przedstawiając „anioła-niewiastę" Sczaniecką, przewijającą rany starca bojownika z 1863 r., którego już kiedyś opatrywała w czasie powstania listopadowego. — Po zdobyciu Warszawy niezwykle czynna natura jej znalazła pracę w kolportowaniu zakazanych druków patrjotycznych, tworzeniu w Poznańskiem wielu stowarzyszeń miłosiernych i patrjotycznych, a nawet naukowych i gospodarczych. Był to typ działaczki społecznej w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu.

Nad wszystkiemi jednak kobietami tej epoki góruje swą osobowością, a nawet sławą Klaudyna Potocka. Fascynujący musiał być urok tej kobiety, gdy wszystkich wielkich Polaków, którzy się tylko z nią zetknęli, zdobył na zawsze. O niej to w sześć lat po jej zgonie pisze Pol: „Postać Klaudyny unosiła się przed moją duszą jak ulotny ustęp wielkiego poematu, jak nuta bolesnej pieśni. Nie wiedząc o tem, czułem to wówczas, że tym poematem była ziemia polska, tą pieśnią ciężki nasz żywot. Nie to, co mówiła obudziło we mnie to uczucie, ale to, co z całej jej postaci wyczytałem, święt jakiś tajemniczy... Potęga jakaś ducha, która je wiodła i wspierała. Postać jej była wątła i podobna do cienia, a przecież pełna siły i powagi... Kiedy się umysł ożywił jakąś słodką nadzieją, grały jej oczy demonicznem światłem natchnienia. O, dobrze jest, że od owej chwili do dnia dzisiejszego 10 prawie lat upłynęło, boby mię może kto o przesadę obwinił; ale jak nie starzeje się w człowieku cześć dla Boga, tak i najpiękniejsze obrazy po Bogu stoją przed duszą ręką czasu niezatarte. Gdyby to wrażenie było na żołnierza padło, zrobiłoby może z niego bohatera. Ja zacząłem pisać od owego czasu".

Życie Klaudyny jest dziwnie proste, a wzruszające. Córka wojewody Ksawerego Działyńskiego, wydana po studjach w Paryżu za znanego dowcipnisia Bernarda Potockiego, umiała męża zapalić takim głębokim patrjotyzmem, że w powstaniu od szeregowca szlif się dosługiwał. Sama „wątła i delikatnego zdrowia", nie tylko niezmordowanie pracowała po lazaretach, niosąc pomoc rannym, lecz i w szpitalach cholerycznych narażała wciąż swoje życie. Pod Ostrołęką w najcięższym ogniu nieprzyjacielskich bateryj podjeżdżała ambulansem, by opatrzyć rannych. Wpływ jej na chorych był tak wielki, że znosili najcięższe operacje, krzyku nie wydając, byle Klaudyna była z nimi. Spalała się w miłości Ojczyzny, każdą swą myśl, każdy czyn jej poświęcając. Oto jak pisze do matki męża w chwili zbliżającego się upadku powstania, ta 29-letnia wówczas kobieta: „Zdaje mi się wciąż, że Polska upaść już nie może. Tyle ofiar, tyle poświęceń, tak religijna nadzieja ogarniająca wszystkie umysły, zawiedziona być nie może. Mimo tych wszystkich, którzy gina z kul nieprzyjacielskich lub cholery, wierzę w przyszłość Ojczyzny, mam przeczucie, że wszyscy moi jej szczęściem cieszyć się będą. Jeżeli jednak Bóg nas tak długo utrzymać raczył, aby wkońcu zgubić, trzeba się będzie poddać Jego woli. Ale rozpaczać nie wolno, cześć Polski ocaloną zostala"... Zawiodły Klaudynę przeczucia.

Lecz i wtedy nie poddaje się nieustraszona bojowniczka, czerpiąc pociechę w głębokiej swej religijności. Wielka Samarytanka — jak ją w pięknem studjum nazwał St. Wasylewski — przemienia się w Wielką Jałmużnicę. Zawiązuje w Dreźnie komitet, któremu tysiące powstańców zawdzięczają możność przedostania się do Francji, tworzy biuro korespondencyjne dla spraw emigracji. Staje się ambasadorem Wielkiej Emigracji, jej aniołem opiekuńczym, jej duszą. Rzuca swe imię na żarna emigracyjnych swarów i jedyna może umie je łagodzić. Nie waha się narazić sobie swego arystokratycznego świata, biegnie wszędzie, gdzie można zapobiec polskiej nędzy w jedynej swej czarnej żałobnej sukni, bo wszystkie klejnoty i ubiory sprzedała na cele komitetu. O tej „czarnej sukience", którą za przykładem Klaudyny, przywdziały wówczas niewiasty polskie, pisał Konstanty Gaszyński:

...„gdy nas zdrady wrogom przedały,
Gdy zaległ Polskę najeźdźców rój,
Gdy w więzach jęczy naród nasz cały,
Jeden mi tylko przystoi strój:
Czarna sukienka"!

„Karotowała" wszystkich bogatszych, słała pieniądze wszystkim potrzebującym. Dla chorych i cierpiących była opatrznością i choć się w niej życie słabym tliło płomykiem, do ostatniej chwili nie ustawała w olbrzymim wysiłku. Pięć ledwie lat przeżyła upadek powstania, lecz są to lata panowania tej największej kobiety polskiego romantyzmu, które mocą swego potężnego uczucia miłości Ojczyzny, siłą swego współcierpienia z niedolą polskiej rzeszy emigranckiej — zdobyła „rząd dusz" pielgrzymich. „Panią naszą" nazywa ją Mickiewicz i, opisując Domejce poświęcenie jej dla konającego na gruźlicę Garczyńskiego, powiada: „Ta kobieta godzi z rodzajem ludzkim i może natchnąć znowu wiarą w cnotę i dobroć na ziemi. Zdaje mi się, że życia ma tylko na parę godzin, a przecież znajduje zawsze siły na służenie innym. Wkrótce ona stąd odjeżdża i nie wiem potem, co się z nami stanie". Odeszła jednak niedługo na zawsze. Zostawiła ślad głęboki w duszy współczesnych, którzy ją uważali niemal za świętą. Dwa pokolenia Polek nosiły srebrne pierścionki z napisem: „Klaudyno, módl się

Dokończenie na str. 31-ej.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 46 | **Niedziela, 13 listopada 1938** | **Rok IV**



Pan Prezydent Rzeczypospolitej

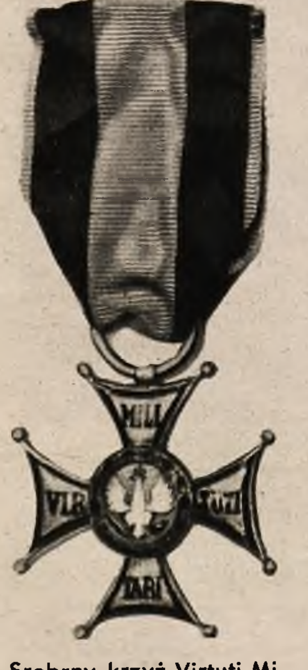
PROF. DR. IGNACY MOŚCICKI

Dwudziesta rocznica odzyskania Niepodległości nadeszła w radosnej chwili, gdy cały kraj przeżywa powrót w granice Rzeczypospolitej prastarych ziem polskich, podstępnie nam wydartych.
Uczucia wdzięczności, płynące dziś ze wszystkich stron Polski, w zgodnym rytmie serc wszystkich Polaków stanowią bezcenny dar, który Naród składa w dniu wielkiego święta u stóp swego Włodarza, dobrze zasłużonego Ojczyźnie.

VIRTUTI MILITARI



Książę Józef Poniatowski w mundurze marszałka Francji z wielkim krzyżem Virtuti Militari (według współczesnej litografji ze zbiorów dr. W. Szperbera).



Srebrny krzyż Virtuti Militari w swej dzisiejszej postaci.

Jakkolwiek Polacy zawsze lubili wojaczkę, nie byli jednak aż do połowy XVIII w. żołnierzami w dzisiejszem pojęciu: byli na to zbyt indywidualni i za mało rozumieli doniosłość zorganizowanej armji. Aż do powstania kościuszkowskiego pokutowała w nas dawna nawyczka wojowania z fantazji, luzem, bez przygotowania, odnoszenia zwycięstw brawurą, impetem husarskim, nie zaś haubicą i dobrym muszkietem. Uważaliśmy, że takie „inżynierskie" wojowanie nie przystoi szlachcicowi. Nic też dziwnego, że wszystkie projektowane powiększenia armji w dawnej Polsce pozostawały niestety na papierze. Dopiero, gdy za Stanisława Augusta wielki gmach Rzeczypospolitej począł się palić w kilku miejscach naraz, zrozumieliśmy konieczność stworzenia stałej i stojącej na wyżynie współczesnej techniki armji.

Z temi ostatniemi, rozpaczliwemi, ale jakże dla nas pamiętnymi zapasami, wiąże się powstanie jedynego polskiego wojskowego orderu, będącego po dziś dzień drogocennym symbolem naszej Armji — orderu Virtuti Militari.

Jak wszystkie nieomal nasze ordery poza odznaką św. Stanisława, fundowaną przez króla Stanisława Augusta „lege artis" — również i wojskowa odznaka polska, zwana od napisu na niej się mieszczącym „Virtuti Militari" — powstała w sposób raczej przypadkowy i długo musiała czekać, zanim przyoblekła się w szaty normalnego orderu, z statutem i odnośnemi przepisami.

Chwila jej powstania przypada na ostatnie nasze boje z Rosją w r. 1792, a myśl założenia orderu podsunął królowi bratanek jego, ks. Józef Poniatowski, radząc ,aby order wzorować na niedawno temu, bo w r. 1757 przez Marję Teresę założonym orderze wojskowym jej imienia, który zresztą został m. in. nadany również ojcu księcia Józefa, jenerałowi wojsk austrjackich, ks. Andrzejowi Poniatowskiemu. Pierwotnie odznaka wojskowa nie była krzyżem, jak ją dziś widzimy, lecz medaljonem owalnym, na którego jednej stronie widniał monogram królewski SAR z koroną i liściem laurowym, na drugiej zaś napis Virtuti Militari,. Wstęga od samego początku istnienia orderu była niebieska z brzegiem czarnym. Król Stanisław August miał po raz pierwszy okazję rozdać ordery zwycięskim oficerom i żołnierzom za bitwę pod Zieleńcami, rozegraną w dniu 18 czerwca 1792 roku. Wtedy to przesyła księciu Józefowi, wodzowi armji ukraińskiej, 20 medali złotych i 40 medali srebrnych. W cztery dni po bitwie, tj. 22 czerwca, przesyła wraz z medalami list, w którym po raz pierwszy mowa jest o nowym orderze. Przytoczony poniżej ustęp listu królewskiego orjentuje nas o tem, że król już dawniej musiał przemyśliwać na temat założenia wojskowego orderu. Brzmi on następująco: „myślałem początkowo ustanowić pewne stopnie i odróżnienia co do formy wstążek, ale żeby właśnie nadać większą wartość tej odznace, pragnę na początek, ażeby medal, który sam nosić będziesz, nie wyróżniał się w samym zawiązku od tych medalów. które w mojem imieniu rozdasz innym, a które winny być noszone na wierzchu sukni tak, jak krzyże Marji Teresy, św. Ludwika, lub św. Jerzego w innych państwach. Wstęga wąska, którą umyślnie w tym celu dołączam, jest taka sama, jak przy orderze św. Stanisława, gdy jest zawieszony na szyi". A dalej odnośnie odznaczonych kawalerów orderu, pisze król do bratanka: „Jest was 16-tu wymienionych na załączonym wykazie, ale ponieważ może się zdarzyć, iż znajdzie się jeszcze kilku już zasługujących na tę odznakę, dodaję przeto jeszcze 4 dla tych, których nazwiska mi wskażesz. Przesyłam Ci nadto 40 medalów srebrnych dla niższych oficerów i prostych żołnierzy, których nazwiska mi nadeślesz, zachowując wykazanie stopni na później". Do cennego królewskiego autografu dołączona była kartka, na której król własną ręką wypisał nazwiska tych, którzy jako pierwsi mieli zaszczyt nosić czcigodny Virtuti Militari. Większość tych nazwisk pozostała w historji: resztą, mniej znana, zasługuje niemniej na cześć potomności, pomnej ich wysiłków i krwi przelanej dla Polski. Oto nazwiska tych pierwszych kawalerów orderu Virtuti Militari: Książę Józef Poniatowski, G. major Kościuszko, G. major Wielhorski, G. major Poupart, brygadjer Mokronoski, wicebrygadjer książę Sanguszko, pułkownik Poniatowski, podpułkownik Grochowski, major Krasicki, Szczutowski, Bronikowski kapitan, Chomętowski, Gałecki,, Bukar, Marszycki, Tepfer.

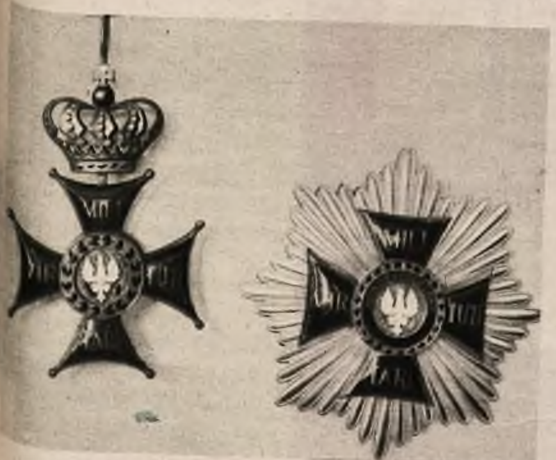


Virtuti Militari nadany za bitwę pod Zieleńcami, jako medaljon.

Podobnie jak w ostatnich tygodniach podczas przesilenia europejskiego, w ówczesnej Polsce jedno wydarzenie ścigało drugie, bitwa następowała po bitwie, a z dnia na dzień zmieniało się oblicze przyszłości, nic więc też dziwnego, że jakkolwiek aktem osobistym król stworzył nową odznakę wojskową, nie miał poprostu czasu i okazji zajęcia się dokładnie jej statutami i przeprowadzenia z założeniem orderu związanych formalności. Wynika to też z jego notatki, pisanej do Ks. Józefa w dniu 29 czerwca tegoż roku: „Ponieważ jeszcze nie mogłem ustanowić formalnych reguł nowego orderu militarnego, więc ile tylko nastarczono zrobić orderowych tych medalów 90 srebrnych, a 10 złotych, posyłam W. Panu, z których oddaj W. Pan złoty szefowi Karwickiemu, ponieważ mu W. Pan dajesz do tego tak dobre świadectwo; drugie oddaj W. Pan tym, których tej dystynkcji właśnie godnymi sądzisz, tylko mi ich imiona przyślij".

Jak wygląda szczegółowo order wojskowy w pierwszej swej fazie istnienia, na to odpowiada nam tekst dyplomu, wydany dla porucznika korpusu artylerji obojga narodów, urodzonego Ludwika Metzla, wydany w dn. 25 czerwca 1792 roku i podpisany przez króla. Otóż krzyż miał być „ciemno szmelcowany z napisem Virtuti Militari z orłem białym w pośrodku na złotym szmelcowanym gruncie, laurem zielonym obwiedzionym na jednej stronie; na drugiej nieszmelcowany złoty z pogonią litewską ciemno szmelcowaną w środku, takoż zielonym laurem obwiedziona i literami S(tanislaus) A(ugustus) R(ex) Poloniae na wstędze błękitnej z czarnemi brzegami po lewej stronie na piersiach publicznie dla zaszczytu noszony". Jak z tego widać. wnet po ustanowieniu orderu przyjął on postać krzyża, bliższe jednak szczegóły nie zostały określone z powodu wypadków politycznych. Wiadomo tylko, że order dzielić się miał na 5 klas: krzyż wielki, krzyż komandorski, krzyż kawalerski, medal złoty i medal srebrny. Wielkich krzyżów miało być tylko pięć, drugiej klasy 50, trzeciej klasy 100. Projekt statutu przywiązywał do każdego krzyża pensję roczną i to dosyć znaczną, bo kawalerowie I klasy mieli pobierać 20 tys. złp., drugiej klasy — 2 tys., trzeciej klasy tysiąc złp. itd. Piękny gest założenia orderu dla najbardziej zasłużonych wojskowych zniweczył król przystąpieniem swem do Konfederacji targowickiej w dniu 24 lipca 1792 r., która uniwersałem, wydanym już na kilka dni przedtem, tj. 18 lipca, uznała odznaczenie Virtuti Militari za „czcze, żadne i niebyłe", rozkazując zdjęcie jego z munduru przez obdarowanych. Król, mimo swej oficjalnej uległości wobec konfederacji, nie przestał jednak zamawiać odznak i osobiście kwitował mennicę z ich odbioru. Oczywiście, że rozkaz Konfederacji odnośnie orderu wywołał oburzenie u partjotów; chcąc więc nagiąć opornych do swych rozkazów, wydaje ona drugi uniwersał w tej sprawie: „noszenie (krzyży) przez Osoby Woyskowe pod karami osobistemi na nieposłusznych rozciągnąć się maiącemi i utratą Rang natychmiast zakazuje i one

Dokończenie na str. 12-tej.



Współczesny wielki krzyż Virtuti Militari i plaka.



Marszałek Piłsudski wznowił piękne tradycje orderu Virtuti Militari, stając się jego pierwszym kawalerem.



Krzyż kawalerski Virtuti Militari w swej dzisiejszej postaci.

XX-LECIE NIEPODLEGŁOŚCI
W FILATELISTYCE

W obecnej dobie znaczki pocztowe są często widomym dokumentem historycznym, przedstawiającym w miljonach egzemplarzy wszystkie ciekawsze wydarzenia.

Rozdział pod tytułem „Polska" jest w każdym albumie bardzo obszerny i interesujący, a tam, gdzie większość pól jest zapełniona znaczkami, tam stoją nam przed oczami najważniejsze chwile XX-lecia odzyskanej niepodległości.

Już w drugim roku Wojny Światowej, gdy wojska rosyjskie opuściły Warszawę, a Niemcy stanęli pod bramami Syreniego Grodu, po raz pierwszy ukazał się znaczek, który nie był wydany przez żadne z państw zaborczych. Komitet Obywatelski Miasta Warszawy czyli „K. O. M. W." nie miał wiele czasu na artystyczne konkursy i 23 sierpnia ukazały się dwa znaczki z herbem stolicy i białym orłem, wykonane zwyczajną litografją. Żywot tej emisji przetrwał aż do 20 października 1916 roku, a w międzyczasie także miasto Sosnowiec mogło przez kilka miesięcy szczycić się własnymi znaczkami.

Klęska i rozkład polityczny Rosji umożliwił polskim oficerom, walczącym w szeregach armji carskiej utworzenie tak zw. I Polskiego Korpusu, który pod dowództwem generała Dowbór-Muśnickiego posiadał władzę na obszarach, leżących na południe od Mińska. Nie omieszkano wówczas oczywiście przedrukować znaczków rosyjskich, ale Korpus Polski, zależny jednak od naczelnego dowództwa niemieckiego, musiał wkrótce zlikwidować swą działalność.

W chwili, gdy państwa centralne doznały decydującej klęski w Wojnie Światowej cała dzisiejsza Rzeczypospolita była zajęta przez Niemcy i Austrję. W Warszawie najpierw ukazały się znaczki z tak dawno oczekiwanym napisem „Poczta Polska", bo już 17 listopada 1918 przedrukowano tam niewydaną emisję „K. O. M. W.". W dwa tygodnie później, los ten spotkał wszystkie znaczki okupacyjne niemieckie i austrjackie (te ostanie były w obiegu na terenie obecnego woj. kieleckiego i lubelskiego). Skreślono na nich napisy „Gen(e-ral)-Gouv(ernement)-Warschau", względnie umieszczono na twarzy cesarza Karola przedruk w postaci białego orła. W Krakowie ukazała się dopiero 10 stycznia w obiegu słynna serja znaczków „Poczta Polska" nazwana tak od wyraźnego przedruku mówiącego, że panowanie Austrji nad „Galicją i Lodomerją" należy bezpowrotnie do przeszłości.

Już w pierwszych dniach po zorganizowaniu ministerstwa Poczt rozpisano konkurs na znaczki Niepodległej Polski, który dał bardzo dobre wyniki, a jeden z projektów, przedstawiający tak charakterystycznego dla naszego wojska ułana z wyciągniętą szablą, — doczekał się realizacji. Zmieniono tylko proponowany napis „Królestwo Polskie". W lutym 1919 wydała Komisja Likwidacyjna w Krakowie samodzielnie znaczki, w zaborze natomiast pruskim dopiero w sierpniu można było przedrukować marki niemieckie, wtedy gdy w obiegu znajdowała się już serja, oznajmiająca zwołanie pierwszego sejmu do Warszawy.

Granice Rzeczypospolitej zostały odrazu ustalone tylko na południu, zaś na obszarach plebiscytowych w Olsztynie, Kwidzyniu (13 marca 1920), na Górnym Śląsku (20 lutego 1920) i wreszcie na Śląsku Cieszyńskim (15 maja 1920); komisje Ententy emitowały znaczki dla terenów spornych. Gdy po zwycięstwie nad bolszewikami generał Żeligowski wkroczył do Wilna, przedrukowano tam natychmiast znaczki litewskie, a datę 9 października 1920 upamiętniono trochę później na znaczku za 100 mkp.

Nie przynoszą chwały polskiej grafice znaczki, które uczciły ogłoszenie Konstytucji Marcowej, bo motyw wschodzącego słońca, czy też dwie żniwiarki nie jest czemś specjalnie charakterystycznem dla naszej ojczyzny. Później w latach dewaluacji, także nie zanotowaliśmy niczego nadzwyczajnego w wydaniach ministerstw „P. i T.".

1 maja 1924 weszła w obieg nowa waluta i znaczek z podobizną drugiego prezydenta Polski Stanisława Wojciechowskiego, wartości 1 złotego. Prawa Polski do portu Gdańska w postaci tak zw. „regale pocztowego" zostają urzeczywistnione rok później i odtąd równolegle z każdą nową serją przedrukowuje się niektóre znaczki napisem „port Gdańsk".

Marsowa podobizna Wielkiego Marszałka, którą widzimy na znaczkach już w 1919, w 1927, z okazji Jego Imienin, w 1934, czyli w 20-lecie powstania polskich legjonistów i wreszcie 12 maja 1935 w dniu Jego zgonu, jest dzięki tym właśnie znaczkom znana filatelistom całego świata. Obecnie najwyższa wartość serji jubileuszowej przedstawiać będzie alegorję Józefa Piłsudskiego.

Prof. dr Ignacy Mościcki, który został obrany w dniu 3 czerwca 1926 III Prezydentem Rzeczypospolitej, święcił dwa lata temu jubileusz dziesięciolecia swych rządów. Teraz, gdy cały nasz kraj cieszy się z powiększenia granic, gdy już wkrótce będziemy naklejali na list znaczki z widokami Śląska Zaolzańskiego, gdy na każdem polu daje się odczuć szybki rozwój i postęp, możemy powiedzieć z dumą, że Polska nie zmarnowała XX-lecia swej Niepodległości.

Witold Horain.



Oto znaczki, które poczynając od r. 1915 aż do 1936, przypominają najważniejsze wydarzenia w dziejach Polski. Najstarszy ze znaczków, pierwszy w górnym rzędzie, wydany został przez miasto Warszawę. Następnie widzimy przedruki rosyjskich, austrjackich i niemieckich znaczków oraz znaczki wydane z różnych specjalnych okazyj: plebiscytu w Olsztynie, Kwidzyniu, 15-lecia niepodległości, zgonu Marszałka Piłsudskiego, wkońcu 10-lecia rządów Pana Prezydenta R. P. prof. Mościckiego.





Dawniej

znużona, słaba, rozdrażniona, niezdolna do wysiłków i bliska rozpaczy...

Dziś pogodna, silna, zawsze uśmiechnięta. Organizm wzmacniany stale Ovomaltyną nabiera siły i prężności, praca idzie szybko i sprawnie. Ovomaltyna bowiem wprowadza do ustroju najszlachetniejsze składniki odżywcze w skoncentrowanej i łatwo strawnej formie, tworzy źródło niewyczerpanej energii, przywraca równowagę i podnosi samopoczucie.

Dla ludzi pracy Ovomaltyna!

OVOMALTINE





JECOROL
MAG. A. BUKOWSKIEGO
ZWIĘKSZA WAGĘ, WZMACNIA OGÓLNIE
STOSOWANY JEST **ZAMIAST TRANU**
SMACZNY i SKUTECZNY
W UŻYCIU PRAWIE OD PÓŁ WIEKU



DZIECKO POLSKIE W POLSKIEJ SZKOLE
POPRZYJ ZBIÓRKĘ NA SZKOŁY POLSKIE ZA GRANICĄ!



TWOJE ZĘBY WYMAGAJĄ RÓWNIEŻ PIELĘGNOWANIA PASTĄ COLGATE!

Regularne używanie podwójnie działającej pasty do zębów Colgate jest przezornością, której nikt nie powinien lekceważyć. Pocóż niepotrzebnie narażać się na niemiły oddech i żółte zęby.

Przenikająca piana pasty Colgate czyści gruntownie, usuwając psujące się cząsteczki pożywienia ze szczelin między zębami i z dziąseł. Jednocześnie jej polerujące składniki czyszczą emalię i nadają jej blask.

Wypróbuj pastę Colgate. Spójrz w lustro — Twe zęby są czyściejsze i bielsze, a usta świeższe. Kup dziś jeszcze tubę pasty do zębów Colgate.

DZIECI UWIELBIAJA JEJ ORZEZWIAJACY SMAK.





WSPOMNIENIA LOTNIKA ★ JERZY ROZWADOWSKI

Był rok 1920..

Od samego wyruszenia na front jakiś dziwny pech prześladował 1 eskadrę. Chroniczny brak sprzętu, który „wykruszał się" coraz bardziej na nierównych terenach przygodnych lądowisk, używane już od niepamiętnych czasów silniki, w połączeniu z ciężką i odpowiedzialną pracą bojową, doprowadziły wkońcu do tego, iż poza zdobytym na nieprzyjacielu starym płatowcu, nie było ani jednego, zdolnego do lotu aparatu.

W najbardziej krytycznym momencie, jak to zwykle bywa, sytuacja poprawiła się. Wraz z błękitnemi wojskami generała Hallera, przybyło do kraju kilka eskadr, wspaniale wyekwipowanych w różnoraki sprzęt.

Jedna z nich, wyposażona w doskonałe, jak na ówczesne czasy, samoloty linjowe typu „Salmson", złączona z istniejącą tylko w teorji 1 eskadrą, stworzyła silną jednostkę, z pełną obsadą personalu latającego i obsługi technicznej.

Praca ruszyła raźno z miejsca, przybierając coraz żywsze i owocniejsze tempo.

Ofiarny wysiłek załóg nie zdołał wpłynąć jednakże na poprawienie ogólnej sytuacji, która pogarszała się coraz bardziej. Powyginana linja frontu, biegnąca przez moczarzyska i zapadłe ostępy Polesia, trzeszczała pod naciskiem nieprzyjaciela, wkońcu pękła na odcinku 1 armji.

Nie napotykając na poważniejszy o p ó r, wróg szedł naprzód, wysyłając przed siebie błyskawicznie przerzucające się z miejsca na miejsce kozackie dywizje Budiennego.

Pozostawiona własnemu losowi eskadra, musiała z konieczności wziąć udział w szybkim odwrocie armji. W ciągu jednego miesiąca zmieniono siedem polowych lotnisk, nie zaprzestając jednakże przeprowadzania ciągłych wywiadów, z których raporty brzmiały prawie zawsze jednakowo:

— Oddziały nasze w odwrocie, bolszewicy idą naprzód w takiej a takiej sile, tu lub tam.

Partyzancki charakter walk powodował niejednokrotnie, iż na lotnisku w Dokszycach groziło eskadrze dostanie się do niewoli. Kilka zdolnych do lotu aparatów wylatywało kolejno na wywiad, aby ubezpieczyć się bezpośrednio przed nagłem zaskoczeniem czerwonych oddziałów.

* * *

Ciepła noc z 24 na 25 czerwca otuliła nas mrokiem. Granatowa kopuła nieba, usiana miljonami złotych gwiazd, wisiała jak wielki klosz nad głowami siedzących przed dworem lotników. Ciszę przerywał tylko od czasu do czasu daleki, przytłumiony huk dział, albo ledwo uchwytny uchem trel „maszynki", przypominający spadające na podłogę pojedyncze, zerwane ze sznurka paciorki. Z zachodniej strony horyzontu zbliżała się wielka, rozciągnięta szeroko chmura, obejmująca w swe posiadanie coraz to większą i większą przestrzeń nieba. Gęsta opona sunęła powoli, gasząc jedną po drugiej błyszczące źrenice gwiazd...

— Skończyły się już, zdaje się, piękne, romantycznie wysłonecznione dni — odezwał się ktoś w mroku.

— Nie masz znów powodu do zmartwień, Wiktor — podjął rzucony temat dowódca eskadry — i tak przeniesiemy się niedługo z Duniłowicz dalej na zachód, a tam już chyba będzie cieplej, niż tutaj „na północy", czyż nie?

— Ostatecznie zmartwienia niema. I tak od tygodnia nie mamy właściwie nic poważniejszego do roboty. Zapomnieli o nas w sztabie, czy co? — dorzucił któryś z obserwatorów, zapalając gasnącą uparcie fajkę.

* * *

Ociekający mżącym kapuśniaczkiem wstawał powoli ranek, otrząsając z siebie rzedniejące mroki nocne. Świat budził się ze snu, jakby niechętnie. Nawet wróble, ćwierkające dotychczas co ranka wśród zabudowań wsi, pochowały się pod obwisłymi okapami strzech chałup i stodół. Siwe mgiełki, unoszące się z nasiąkniętych wilgocią pól, włóczyły się nad samą ziemią, pogarszając i tak fatalną widoczność. Przenikliwy ziąb powodował przejmujące dreszcze, wciskał się pod szczelnie zapięte kołnierze, osiadając mikroskopijnemi kropelkami na skórzanych płaszczach i zasuniętych na hauby szkłach. Opodal stał płatowiec i moknął cierpliwie, czekając, aż mechanik, grzebiący się w widocznych z pod maski wnętrznościach silnika, znajdzie zaoliwioną jeszcze wczoraj świecę.

Pilot, plutonowy Zaleski, oparty o krawędź lewego dolnego płata, filozoficznie puszczał jedno po drugiem misterne kółeczka dymu z trzymanego w ustach papierosa. Lot na nieprzyjaciela? Boże drogi! Czyż była to jakaś nowość? Dawno minęły już te czasy, gdy drżenie w palcach ręki, dzierżącej „knypel", z trudnością tylko dawało się opanować przy starcie

Dziś? — Dziś był to tylko jeden więcej epizod, jakich przeżyło się już niezliczoną ilość.

Z głębi hangaru wyszedł por. Antoni Święcicki. Opięty w skórę, d ź w i g a ł pod pachą plik map. Przeglądając raz jeszcze nakreślone spiesznie w notatniku zadanie, oznajmił p i l o t o w i w krótkich słowach, co mają wykonać.

— Będzie trochę roboty, zwłaszcza przy takiej pogodzie, ale mam wrażenie, że damy sobie radę, co, stary?

Zaleski kiwnął tylko głową, gasząc niedopałek papierosa w kałuży wody, która zebrała się w zaklęsłem płótnie pokrycia kadłuba.

— — — — — —

Wystartowali na mały zagajnik, zarasta-

jący lądowisko z północnej strony. Widoczność zginęła już na stu metrach. Ściągnięty sterem „Salmson" szedł w górę, rozwalając na boki szeroką bruzdą białą watę oparów.

Po półgodzinnym locie okazało się, iż zadanie nie da się w żaden sposób wykonać. Trudno przecież lecieć nad nieprzyjacielem na wysokości dwudziestu metrów.

Wróciwszy na lotnisko, zakołowali pod hangar, gdzie stał właśnie dowódca eskadry.

— Nie można powiedzieć, żebyś długo był w powietrzu — zauważył mimochodem. — No, no, nie gniewaj się, Antek! Wiesz przecież, że to żarty — dodał, widząc zdumioną minę Święcickiego. — Nikt w tych warunkach nie potrafiłby zrobić wywiadu! Nie masz się więc czego obrażać.

— — — — — — — — — —

Zaciągnięte gęstą oponą chmur niebo, zaczęło się przecierać. Zamglona tarcza słońca przebłyskiwała co chwila... Pułap podniósł się do jakichś dwustu metrów, mgła zrzedła, poszła wgórę, roztapiając się w szarą, wiszącą prawie nieruchomo warstwę. Od biedy można było lecieć.

Rozpędzony na pełnych obrotach samolot, oderwał się od ziemi i położył w głęboki wiraż nad skrajem wsi, bielącej się ścianami chałup na tle ciemno-zielonych łąk i pastwisk.

Święcicki spojrzał na zegarek. Była godzina 11-ta. Przekręciwszy obrotnik karabinu maszynowego wtył, ustalił sobie kolejność wywiadu. Miał stwierdzić sytuację własnej piechoty, związanej z nieprzyjacielem walką w rejonie Berezyny i jeziora Szo, oraz zbadać linję toru kolejowego od stacji Ziabki do Połocka.

Pogoda psuła się znów w coraz szybszem tempie. Napęczniałe wilgocią chmury, przewalały się nad samą ziemią, która co chwila niknęła z oczu, osłaniana białemi oparami mgieł, unoszących się z gęstych zarośli wierzb i olszyn. W dali przebłyskiwało koryto rzeki, wijącej się kapryśnie wśród zwartej gdzieniegdzie szczotki lasów i zagajników. Pomiędzy niemi, niewidoczne i zamaskowane, znajdowały się stanowiska naszej piechoty, która od dłuższego już czasu bezskutecznie zmagała się z silniejszym liczebnie wrogiem, o zdobycie panowania nad kilkoma przeprawami i brodami Berezyny.

Wychyliwszy się z kabiny, Święcicki objął jednym rzutem oka toczącą się w dole walkę.

Szło natarcie... Drobniutkie punkciki strzelców podnosiły się co chwila z ziemi, ukazywały na sekundę, aby po kilku skokach zniknąć znowu w zapadłościach i bruzdach terenu, lub rozpłynąć się we mgle. Od czasu do czasu wykwitał nad nimi biały obłoczek pękających szrapneli, któremi ostrzeliwała ich jakaś baterja bolszewicka, ukryta za lasem po drugiej stronie rzeki. Do uszu Święcickiego doszedł zgłuszony szumem śmigła trzask wystrzałów karabinów i krótkie detonacje salw armatnich. Co chwilę z pomiędzy rzadkich krzaków wytryskiwała wgórę fontanna piachu i liści, porwanych siłą wybuchającego pocisku, poczem wolno opadała na ziemię, owinięta pióropuszem czarno-białego dymu.

Ukryty w rowach strzeleckich nieprzyjaciel miał widać dość walki. Coraz częściej od linji bojowej odrywały się małe grupki żołnierzy, aby po krótkim przeciągu czasu wsiąknąć w zarośla, przechodzące stopniowo w gęsty, wąskim pasem ciągnący się las.

Święcicki szybko zanotował zaobserwowaną sytuację, stwierdziwszy pełne powodzenie natarcia. Pilot tymczasem z własnej inicjatywy skierował aparat za rzekę. Przelecieli nad lasem, z którego wybiegały na północ dwie drogi. Gdzieś na nich powinny były się znajdować większe siły wycofującego się nieprzyjaciela.

Po paru minutach lotu byli już nad nim. Bezwładnie stłoczone oddziału „wiały" przez gościniec, spychając się wzajemnie na rozmokłe, ciągnące się obok pola..

Na widok polskiego samolotu, popłoch zwiększył się jeszcze bardziej. Oddziały bolszewików, pomieszane ze sobą, uciekały na wszystkie strony, rzucając broń i rynsztunek. Zamęt powiększyły zaprzęgi dział i karabinów maszynowych, gnające naprzód poprzez idące przed niemi szeregi piechoty.

Święcicki, pochylony nad karabinem, czekał.

Płatowiec na zredukowanych obrotach szedł równolegle do szosy, pochylony na lewem skrzydle. Przed milczącą jeszcze lufą przesuwały się kolejno oddziały wroga.

Zaleski obejrzał się zniecierpliwiony. Na co on jeszcze czeka?

Święcicki wiedział na co.

Gdy płatowiec znalazł się na równej linji z czołem, nacisnął spust. Gwiżdżące fale pocisków poszły wdół szerokim miotem, siekąc ludzi, konie taborów i biedek.

Patrzącemu na straszny efekt ognia pilotowi zdawało się, iż żadna kula nie chybia celu. Martwi i ranni walili się pokotem na ziemię, przewracani i deptani przez napierające w oszalałym strachu tylne szeregi. Długi wąż kolumny rwał się na strzępy, pryskał w lewo i prawo, poczem znowu stłoczony, rozlatywał się pojedyńczemi postaciami, które kryły się po rowach i zagłębieniach wzdłuż szosy.

Po kilku sekundach zabrakło celu. Samolot wyszedł wprzód, zwinął się w ciasnym węźle podciągniętego wirażu i zniżywszy łeb, runął znów zpowrotem na ludzi. Dwa karabiny pilota, umieszczone pod maską silnika, plunęły kulami....

Gdy zawrócili, okazało się raz jeszcze, że niema już właściwie do kogo strzelać. Po zawalonej trupami, ociekającej krwią szosie umykali w przerażeniu rozproszeni żołnierze. Reszta, która uszła śmierci, rozsypana po polach, kryła się pospiesznie w laskach i zaroślach, ciągnących się kilkaset metrów od drogi.

Święcicki raz jeszcze rzucił okiem na pobojowisko i dał znak pilotowi, dokąd ma lecieć. Potem ciężko opadł na fotel. Napięte w emocji walki nerwy rozluźniły się raptownie.

Na odpoczynek nie było jednak czasu. Jezioro, otoczone z jednego brzegu rzadkim łańcuchem domków wsi, wlazło pod skrzydło aparatu — wykręciło się bokiem i wylazło powoli przed maską. Tu właśnie, jak spodziewało się dowództwo, powinna się była znajdować większa grupa nieprzyjaciela, którą należało rozpoznać i ostrzelać.

Święcicki, zmieniwszy bębny z nabojami, starał się zorjentować, gdzie znajdują się największe skupiska bolszewików i stanowiska artylerji.

Z początku nic nie było widać. Zamarła jakby w bezruchu wieś, zdawała się być wyludniona i pusta. Tylko na drodze polnej, wiodącej na zachód, jakiś spory oddział jazdy ciągnął za sobą tuman siwego kurzu, podnoszący się zpod kopyt galopujących koni.

Zaleski wyciągnął rękę, pokazując coś na prawym, dolnym płacie samolotu. Kilka małych otworków od kul znaczyło się ciemnemi punktami na zielono-szarem płótnie.

Święcicki przeliczył je machinalnie. Jeden, dwa, cztery, sześć....

Spojrzał wdół. Pomiędzy zielonemi kopułami drzew sadu wykwitała mała, nikła wstążeczka niebieskawego dymu. Kilku ludzi stało obok z zadartemi wgórę głowami, śledząc z zainteresowaniem skutek ognia.

Pilot dojrzał już także, skad skierowany jest ogień. Przechylony raptownie na pełnym gazie, płatowiec poszedł wdół jak kamień. Dwie krótkie serje szczeknęły raz za razem, rosnące w oczach dachy chałup uciekły w tył, zamazane szalonym pędem nurkowego lotu.

Ukryte w sąsiednich zabudowaniach nieprzyjacielskie karabiny, tłukły gorączkowo po płatowcu krzyżującym się ogniem. Kilka celnych pocisków zadzwoniło o obrotnik karabinu, dziurawiąc kadłub za plecami obserwatora.

Piekący, jak rozpalone żelazo, ból przeszył raptem Święcickiego.

Z pod skórzanej kurtki, nad kolanem, ukazała się maleńka plamka krwi. Pojedyńcze krople szybko zbiegały na podłogę kabiny, cieknąc już wyraźnym, coraz większym i szerszym strumieniem.

Odchyliwszy połę płaszcza, Święcicki wydobył scyzoryk i zagryzając wargi, rozciął szybko przesiąknięte krwią spodnie.

Ucięta widocznie kula przebiła mięśnie prawego uda, wyrywając z drugiej strony wielki kawał ciała. Zszarpane brzegi rany paliły ogniem. Pełzające tysiącem mrówek odrętwienie posuwało się zwolna wdół do stóp, paraliżując stopniowo czucie i odbierając możność ruchów.

Święcicki wyciągnął rękę, chcąc trącić pilota i dać mu znak powrotu, cofnął się jednak po chwili. A zadanie?

Srebrne nitki wypolerowanych kołami szyn błyszczały jak żywe srebro na drabince czarnych podkładów, ułożonych na żółtym piasku nasypu. Jakaś drezyna bolszewicka tkwiła. zdawało się, nieruchomo na torze. Święcicki ostrzelał ją i nie patrząc na skutek ognia, rozpoczął pisanie meldunku:

„Rejon stacji Ziabki. Stwierdziłem słaby ruch nieprzyjaciela na torze. Napotkałem drezynę, ostrzelałem. Lecę dalej na Połock. Z prawej..."

Drętwiejące palce odmawiają posłuszeństwa. Ostatkiem świadomości obserwator stara się zebrać myśli. Co z prawej? Aha, trzeba przecież podać, że tam, w tym małym zagajniku brzozowym widać posuwający się w kierunku toru szwadron naszej kawalerji...

Głowa zwisa coraz niżej i niżej, ręka, trzymająca kurczowo notes, opada na kolana. Cieknąca jakby wolniej już krew, zamazuje zapisane kartki.

Straszna chwila walki z opanowującą ciało nieubłaganą śmiercią...

Wolno sunie ołówek, wykoszlawiając litery, resztką wysiłku stawiane:

„Nad nieprzyjacielem.... z prawej.... Zabil...."

Antoni Święcicki nie dokończył swego ostatniego w życiu meldunku.

Ściągnięty lotkami aparat, zawrócił prawie na miejscu, niosąc się na pełnych obrotach nad wierzchołkami drzew w kierunku odległego lotniska.

Hen, za ciemniejącą wstęgą lasu, pod wsią, majaczyły w promieniach przebłyskującego słońca białe dachy hangarów. Dolatywali do Duniłowicz....

Martwa głowa obserwatora, oparta o ścianę kabiny, drżała rytmicznie wraz z całym samolotem. wstrząsana obrotami szarpiącego wprzód śmigła...

Wracał do gniazda jeden z bohaterskich naszych orłów.



„PAR FORCE" W WOLICY

Gdy jesienią opustoszeją pola, a lasy przystroją się w piękną żółtawą szatę — roi się teren od jeźdźców. Idea biegów myśliwskich znalazła w Polsce wielu przysięgłych zwolenników, którzy rokrocznie wyruszają na „wielkie łowy". Coprawda to polowanie par force za „prawdziwym" lisem jest dość rzadkie, ale niemniej organizuje się wiele biegów za sforą psów, które idą za sztucznym śladem. Rzecz prosta na drodze stawia się wiele przeszkód, prowadzi się bieg przez najeżony trudnościami teren, aby jeźdźcom dać maksimum zadowolenia.

W piękny jesienny dzień zebrało się liczne towarzystwo w gościnnej Wolicy, której właścicielka p. Halina Płocka znaną jest ze swych jeździeckich zamiłowań. Rokrocznie odbywają się w Wolicy piękne biegi, których mastrem jest sama p. Płocka. Urozmaiceniem biegu jest sfora psów, własność dębickiego pułku strzelców konnych.

Zdaleka dochodzi nas ujadanie pięknych psów gończych. Niebawem master biegu — p. Płocka, dosiadająca pięknego „Ordynata", daje sygnał do biegu i cała grupa rusza w teren. Wśród uczestników widzimy przedstawicieli korpusu oficerskiego dębickiego pułku strzelców konnych z płk. Kosiarskim na czele, jedzie wiele jeźdźców cywilnych jak ks. Drucki-Lubecki, p. Byszewski i inni.

Trasa biegu prowadziła naokoło Dębicy; był to więc swego rodzaju „Tour de Dębica". Spokojnym stępem wyjeżdża grupa aleją parkową. Konie denerwują się czekającym je biegiem. Od czoła dochodzą odgłosy sfory psów, około której kręcą się dojeżdżacze.

Niebawem kończy się stęp. Konie ruszają kłusem... Potem w ślad za mastrem wpadają w galop. Rozpoczyna się piękny bieg. Trasa jest tak prowadzona, że i lis nie potrafiłby wyszukać większych trudności. Oto mamy stromy zjazd, po nim wąski strumień i znowu płaszczyzna, na której ustawiono kilka płotów, potem wąska droga ze szlabanami. Konie idą świetnie, trzeba je trzymać żelazną ręką, by nie poniosły. Wąż jeźdźców rozciąga się, cały las rozbrzmiewa odgłosami polowania.

W taki dzień, gdy ma się dobrego konia pod sobą i wielką przestrzeń przed sobą — traci się poczucie rzeczywistości, świadomość tego innego świata, który czeka nas po powrocie. Ale nie myśli się o tem, czując się nareszcie swobodnym, nieskrępowanym murami miejskimi. Koń wyczuwa swoje zadanie, poznaje przeszkodę zdaleka i chętnie na nią idzie. I w nim budzi się inne życie i na niego oddziaływa nastrój biegu, towarzystwo innych koni i ujadanie sfory psów.

Dwanaście kilometrów biegu mija szybko, może zbyt szybko nawet. Grupa dojeżdża do polany, na której następuje zakończenie biegu. A potem nastąpił tradycyjny „bigos myśliwski", w którym obok bigosu jest wszystko, czego dusza utrudzonego jeźdźca zapragnie. a co może dać gościnny dwór wolicki. Biegi dworu wolickiego są też dobrze znane w okolicy.

Przy stołach, w wesołym nastroju goście opowiadają sobie wrażenia z biegu. Gdzie komu dobrze się skoczyło, a gdzie koń zawiódł, czy lepiej jechać na munsztuku, czy też na zwyczajnem wędzidle. Wiadomo, że jeźdźcy i myśliwi zawsze znajdą sporo tematów do opowiadania. W tym wypadku o tematy te było łatwiej może, niż kiedyindziej, gdyż bieg dostarczył wiele emocyj i wiele niezapomnianych wrażeń.



Powyżej: Stępem wyjeżdża grupa aleją parkową...





Na zjeździe... (prowadzi p. Halina Płocka).
Na prawo: Grupa uczestników biegu ze sforą psów.

MAGAZYN „AS" ZAPOWIADA NOWY

WIELKI KONKURS

NA STROJ NARCIARSKI

UWZGLĘDNIAJĄCY POLSKIE MOTYWY GÓRALSKIE

Impreza konkursowa Magazynu „AS" pozostaje w związku z międzynarodowemi zawodami narciarskiemi F. I. S. w Zakopanem, które odbędą się w lutym 1939 roku.

Szczegóły Konkursu zostaną podane już w następnym numerze „ASA"

Dokończenie z str. 5-ej.

w ręce Komendantów swoich nieodwłocznie złożyć zaleca". W sprawę tę wdał się nawet sam Tadeusz Kościuszko, pisząc do Szczęsnego Potockiego i prosząc go o uchylenie uchwały, co zresztą nie odniosło skutku.

Po skasowaniu przez Konfederację Targowicką, krzyż Virtuti Militari powstaje powtórnie w r. 1793 i zostaje uznany przez sejm grodzieński w dniu 23 listopada 1793. Rosja zakłada energiczny przeciwko uchwale protest i odwołuje swego ambasadora hr. Sieversa, uważając, że nie dość energicznie przeprowadzał on u rządu polskiego postulaty swej monarchini. Następca jego baron Igelström wymusza na królu zniesienie orderu, wskutek czego w dniu 7 stycznia 1794 roku Rada Nieustająca wydaje zakaz noszenia krzyża, anulując uchwałę sejmu zprzed roku. Wkrótce nastąpi zdobycie Pragi i upadek Państwa, a krzyż Virtuti Militari nie został już wznowiony.

Dopiero książę warszawski, Fryderyk August, wskrzesza order w jego dawnej postaci. Wskutek interwencji cesarza Aleksandra I, aby opuszczono na krzyżu Pogoń Litewską, jako herb prowincji, wchodzącej w skład imperjum rosyjskiego, na miejsce jej poczęto kłaść napis „Rex et Patria". Inowacji tej jednak zwykle nie respektowano: ciekawą anegdotę na ten temat opowiada jen Załuski w swych pamiętnikach. Gdy pewnego razu proszony był u księcia Józefa na obiad, w r. 1812, obecny tam gen. Rautenstrauch zwrócił uwagę księcia na krzyż, noszony przez Załuskiego, a mający postać nieprzepisową, t. j. posiadający wizerunek Pogoni. Książę Józef nie powiedział nic na ten temat, tylko uśmiechnął się zadowolony i oglądał piękną robotę krzyża. Pierwszy raz rozdano order za księstwa Warszawskiego w r. 1808, następnie zaś po kampanji austrjackiej w r. 1809. W tymże roku książę Józef wydał dekret postanawiający, że nikt nie będzie mógł dostać kawalerskiego krzyża Virtuti Militari, zanim nie otrzymał poprzednio złotego, podobnie nikt z podoficerów i żołnierzy nie zostanie odznaczony złotym zanim nie zasłużył sobie na srebrny. Trzecie i ostatnie rozdawnictwo orderu nastąpiło w nieszczęsnym roku 1812. Warto wspomnieć, że wielkie krzyże posiadały za ks. Warszawskiego tylko dwie osoby: ks. Józef i marszałek Francji Davout, książę d'Auersaedt, prócz, oczywiście samego księcia warszawskiego. Ciekawem jest, że również trzy kobiety, t. j. Joanna Żubrowa, żona furjera, Józefa Kluczycka, felczerka, wkońcu Barbara Bronisława Czarnowska zostały odznaczone krzyżem w czasie kampanji 1831 r.

Order wojskowy utrzymał się jeszcze za Królestwa Kongresowego, nagradzając walecznych żołnierzy powstania listopadowego, po jego zaś upadku, Mikołaj I, jakby na urągowisko, odznaczał nim oficerów i żołnierzy rosyjskich, którzy „uśmierzali" powstanie! Virtuti Militari pod rządami rosyjskimi, upadał, rzecz prosta, coraz niżej w swej hierarchji, nikt też z Polaków nie przywiązywał do niego znaczenia. Wkońcu zdegradowano go do rzędu medala i rozdawano hojnie wśród oficerów i żołnierzy moskiewskiego samodzierżcy.

Ale wtedy dalekim stał się Virtuti Militari sercom polskim: nieraz tylko, gdy bawiący zagranicą Polak spotkał starego, pochylonego wiekiem a mimo to zawsze dumnego o żołnierskiej postawie rodaka i zauważył w klapie surduta niebiesko-czarną wstążeczkę, serce żywiej mu zabiło, bo wiedział, że to „prawdziwy" Virtuti Militari, nadawany przez Polaków za czyny dla Polski!

Piękne tradycje orderu wznowione zostały przez Niepodległą Polskę i dziś zaszczytny ten order zdobi pierś najzasłużeńszych naszych rycerzy, wiążąc się nierozerwalnie z dziejami naszych bojów o Polskę dzisiejszą, kontynuatorkę wielkich i dziejowych misyj dawnej Polski.

W dzisiejszej swojej postaci order Virtuti Militari prawie zupełnie nie odbiega od swojego prawzoru. Dzieli się on na pięć klas, tj. na wielki krzyż z gwiazdą, krzyż komandorski, krzyż kawalerski, oraz klasę czwartą i piątą, tj. krzyż złoty i krzyż srebrny. Pierwsze dwie klasy posiadają nad krzyżem koronę królewską. Tak więc piękna odznaka, która zdobiła pierś Kościuszki i księcia Józefa pozostała nadal symbolem dzielności naszej Armji.

Jan Maleszewski.

NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

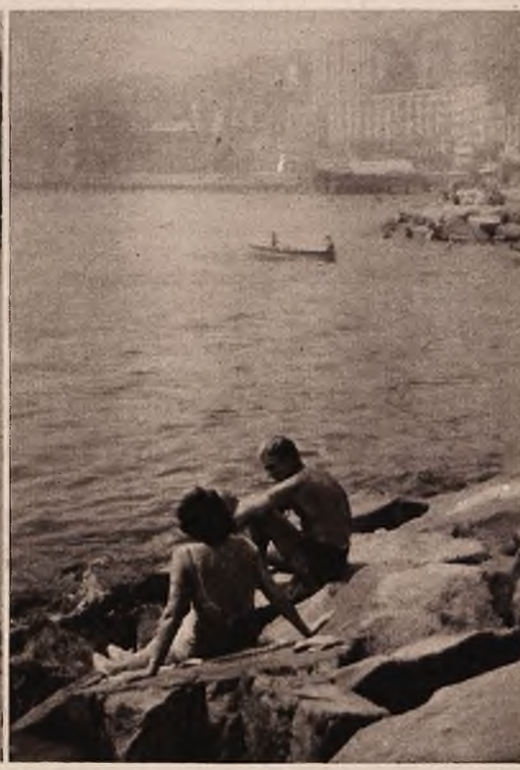
5 cennych nagród!



„Pod kopą siana" — Fot. Karol Kleszczyński. Kraków.



„Zabawa na piasku" — Fot. Beata Zechenterowa. Kraków.



„W zatoce neapolitańskiej" — Fot. Jola Fuchsówna. Kraków.



„Nad Sanem" (pani R. z Sanoka) — Fot. mgr. H. Maultz. Żywiec.



„Wieczorna wędrówka" — Fot. L. Chrapek. Chełmek.



Na lewo: **„Na plaży"** — Fot. W. Ogiegło. Mysłowice.

Tak! wiedzcie, że...



INTELIGENCJA i OGÓLNE WYKSZTAŁCENIE

decydują o waszej wartości!

— Mój drogi, czy ty właściwie wiesz, jak się buduje domy?

Spojrzałem na mego przyjaciela ze zdziwieniem:

— O tyle, o ile — odparłem enigmatycznie, z wrodzoną ostrożnością, tak, jakbym był „Pimem“ i miał wyrokować o pogodzie. — Ale zdaje mi się — dodałem — że rzeczy zasadnicze chyba wiem; nie jestem zresztą budowniczym... Ale skąd to pytanie?

— Bo widzisz, ja sądziłem tak jak ty, ale od dwóch dni przekonywuję się, że miałem o tem zupełnie mylne pojęcie. Obserwuję z mego okna początek budowy domu i zakładania fundamentów. Otóż zawsze wyobrażałem sobie, że fundamenty to coś skomplikowanego i rozbudowanego wszerz pod domem. Tymczasem widzę, że są to poprostu ściany domu, wnikające pionowo pod powierzchnię gruntu.

— No wiesz, dziwię się, żeś tego nie wiedział! Choć czasem, jak grunt jest mniej pewny, to sprawa komplikuje się, i wówczas istotnie fundamenty muszą być bardziej rozbudowane.

Mój przyjaciel uczul się lekko dotknięty mojem zdziwieniem, łypnął na mnie szpiczastem oczkiem i zaatakował:

— Pan dobrodziej ma uniwersyteckie wykształcenie, tak jak i ja zresztą, oraz „zaborczą“, niezreformowaną szkołę średnią za sobą, a mimo tego ogólnego wykształcenia, raczej budzącego zaufanie, z pewnością nie potrafi wytłumaczyć szeregu rzeczy, z któremi co krok się w życiu spotyka! Naprzykład powiedz mi...

— „Rerum cognoscere causas et valorem“ było zawsze moją dewizą — przerwałem z emfazą, czując, że zaczyna być niedobrze i uciekając się do tej dywersji w cichej nadziei, iż mój przyjaciel będzie na tyle szczery, że zapyta co to znaczy...

— Powiedz mi — ciągnął jednak niewzruszenie dalej ten typ — jak naprzykład robi się buty? Przecież jest to przedmiot codziennego twego użytku!

Ja: No — owszem, narazie jeszcze tak,



ale jak tak dalej pójdzie...? A jak się je robi? To całkiem proste: szewc bierze skórę, naciąga na kopyto i potem kręci tem kopytem...

On: Co?. Jakto kręci...?

Ja: No chyba wiesz przecież! Poprostu przysłowiowo, jak szewc kopytem!

On: Coś mi się zdaje, że to kto inny kręci...

Ja: A ty coś się tyle nagrypsał w życiu, czy wiesz dokładnie co to jest atrament!

On: Atrament? Może być... antracenowy, żelazo-gal... galasowy... „bankowy“, są różno-kolorowe... wogóle jest to płyn chemiczny do pisania...

Ja: Doprawdy? chemiczny? A to dopiero odkrycie! To widocznie są także płyny nie-chemiczne; może fizyczne, albo astronomiczne?

On: A propos. A czy wiesz, że widzimy zawsze tylko jedną i tę samą stronę księżyca, a druga stale jest dla nas niewidoczna?

Ja: Owszem. Nawet na tej okoliczności oparł Żuławski swoją piękną powieść „Na Srebrnym Globie“.

On: Ale czy potrafisz wytłumaczyć, jak to pogodzić z faktem, że księżyc krąży naokoło ziemi, co chyba musi być związane ze zmianą położenia wobec nas?

Ja: Wstydzę się, ale nie potrafię. A ty wiesz dokładnie co to jest zorza polarna?

On: Wiem, że jest to zjawisko związane z magnetyzmem ziemskim, dokładnie przedstawić jednak sposobu jego powstawania nie potrafię... Ale skoro już się tak egzaminujemy, to masz tu gazetę i powiedz mi, czy wszystko jest w porządku na tej reklamie futer, gdzie wyrysowano krajobraz podbiegunowy wraz z wielorybem, foką, białym niedźwiedziem i grupą pingwinów?

Ja: Trochę mnie razi niedźwiedź polarny obok pingwinów, bo ptaszki te zawsze łączyłem w wyobraźni z biegunem południowym, no a niedźwiedź chyba napewno żyje tylko na północnym. Co do pingwinów, to doprawdy nie wiem. Ale pozwól, że ci się wywdzięczę: znasz pewne prawo natury, że cechy nabyte nie są dziedziczne?

On: Owszem. Tak naprzykład Chińczycy przez bodaj tysiące lat zniekształcali stopy swoim kobietom, a mimoto dzieci rodziły się nadal z normalnemi nogami.

Ja: Ślicznie. No a co powiesz wobec tego o jamnikach? Popatrz na rozpaczliwie powykrzywiane łapy mego wiernego Świderka i spróbuj mi wyjaśnić powstanie tego karykaturalnego zniekształcenia, które chyba na naturalne nie wygląda?

On: Tyle tylko ci mogę powiedzieć, że początek jamników ginie w pomroce dziejów, bo już na starożytnych egipskich malowidłach spotykamy te urocze pokraki. Zresztą jestem zupełnie nieprzygotowany do roztrząsania tej kwestji. Może mi jednak powiesz, dlaczego rekin nazywa się rekinem?

Ja, wreszcie coś wiedząc napewno, podrywam się z dna przygnębienia i odruchowo wystawiając dwa palce jak w sztubie: Wiem! Wiem! Od modlitwy za zmarłych zwanej Requiem. Ponieważ spotkanie się w wodzie z tą rybką równa się pogrzebowi, więc marynarze tak ją nazwali.

Mój przyjaciel pokiwał smętnie głową: Czy to nie nad naszemi wiadomościami należałoby odmówić Requiem? — zapytał melancholijnie. — Kiedyś uczyliśmy się wielu rzeczy — i co z tego zostało?!

— Pociesz się mój drogi tem, że poza fachowcami w swoich resortach, lub naukowcami, naogół wszyscy mający tak zwane ogólne wykształcenie, wiedzą niewiele więcej od nas. Ostatecznie nikt nam jeszcze

rzeczy opinją nienajgłupszych.

— — — — — — — — — —

Pocieszając w ten sposób mego przyjaciela, i siebie zarazem, uprzytomniłem sobie rolę, jaką w życiu ma spełnić t. zw. ogólne wykształcenie. Oklepany ten termin, dla pedagogów przypuszczalnie jest pojęciem zupełnie ścisłem; mimo tego używa się go naogół nie bardzo się zastanawiając, co właściwie należy pod tem rozumieć; nie zaszkodzi więc trochę o tem pomówić.

Sądzę, że branie zbyt dosłownie określenia „ogólne" może wywołać nieporozumienia. W ten bowiem sposób w zakres takiego wykształcenia musiałby wejść poprostu nieograniczony zasób wiadomości praktycznych z różnych dziedzin życia, coraz to bardziej zróżniczkowanego i bogacącego się w coraz to nowe działy pracy i wiedzy. Jeśliby nowe reformy w szkołach średnich miały dalej iść w obranym kierunku upraktycznienia zakresu ogólnego wykształcenia, to czeka ten kierunek przykry zawód i kryzys: okaże się, że nawet bardzo powierzchownie rzeczy traktując, poprostu niemożliwem będzie objąć jako tako wszystkiego. O ile dawniej wykształcenie ogólne mogło przynajmniej na zewnątrz do pewnego stopnia pokrywać się z wykształceniem encyklopedycznem, to dziś jest to zupełnie niemożliwe. Wykształcenie encyklopedyczne jednostki jest dziś z przytoczonych już powodów nieosiągalne, a typ człowieka o tego rodzaju umysłowości jest anachronizmem.

Dlatego też zupełnie jest w porządku, jeśli ktoś nie wie, jak się buduje dom, robi buty, lub atrament (oczywiście o ile nie jest budowniczym, szewcem, lub chemikiem). Zresztą gdyby nawet to wiedział, to i tak nie będzie wiedział tysiąca innych rzeczy zupełnie równorzędnych. Ważne natomiast jest, aby był w stanie naprawdę go potrzeba.

Czyżby więc ogólne wykształcenie stało się dziś rzeczą nieosiągalną?

Bynajmniej, trzeba tylko pożegnać się z myślą nadawania mu tak modnego dziś charakteru „praktycznego", zatrącającego przedwczesną fachowością, a powrócić do pierwotnego jego pojęcia, t. j. rozumieć pod niem ten zasób wiadomości, który służy przedewszystkiem do wyrobienia u nas różnorodnych dyscyplin myślenia, a powtóre umożliwienia nam wogóle orjentowania się wśród wiedzy, literatury, sztuki przeszłych i obecnych pokoleń.

Wiadomo, że są różne typy i metody myślenia. Myślenie *techniczne,* powiedzmy inżynierskie, polega na orjentowaniu się we właściwościach fizycznych świata zewnętrznego, wyczuwania przestrzeni jak i wielkości, ciężaru, wytrzymałości i szybkości ciał. Pokrewne mu bardzo myślenie *przyrodnicze,* to wyczuwanie rozlicznych, nieraz cudownych procesów, odbywających się w żywych organizmach, rozumienie ich przebiegu na podstawie odpowiednich wiadomości z chemji czy fizyki, oraz ich związku przyczynowego na podstawie logiki. Będzie to myślenie lekarza, rolnika, botanika i innych przyrodników. Myślenie *matematyczne* to myślenie już znacznie bardziej abstrakcyjne, cechujące fizyków, chemików i astronomów (nie mówiąc o buchalterach). Myślenie *taktyczne,* to zdolność odnajdywania najstosowniejszego sposobu postąpienia zależnie od sytuacji obecnej i spodziewanej w przyszłości; będzie to myślenie polityka, żołnierza i kupca. Myślenie *prawnicze,* to zdolność systematyzacji zjawisk, wyszukiwania i ujmowania prawideł wspólnych dla poszczególnych grup, ścisłego definjowania pojęć, oraz ustalania istotnego sensu sformułowanych już myśli. Myślenie *literackie i artystyczne,* to myślenie uczuciowe i subjektywne, zdolność wyszukiwania formy najwłaściwszej dla swego wypowiedzenia się, szukanie harmonji we wszystkiem. Myślenie *filozoficzne,* najuniwersalniejsze ze wszystkich, bo polegające na mniej więcej równem opanowaniu wszystkich sposobów myślenia.

Pozwoliłem sobie ustalić tych parę typów myślenia, jak najbardziej zasadniczych. Nie można sobie jednak wyobrazić, aby jednostka naprawdę inteligentna, należąc do jednego z tych typów, nie posługiwała się nia wszystkich innych typów, albo przynajmniej kilku pokrewnych.



— Pociesz się, mój drogi, że inni wiedzą niewiele więcej od nas!...



Otóż tę właśnie możność *uniwersalnego* myślenia wedle kilku metod ma nam dać to, co nazywamy ogólnem wykształceniem. Poprostu ma w nas wykształcić typ myślenia filozoficznego en miniature. Bo wszakże późniejsze kształcenie się na wyższych szczeblach będzie już w nas rozwijać tylko myślenie w tym kierunku, który odpowiadać będzie fachowi, specjalizacji przez nas obranej. Na ogólne kształcenie umysłu jest już z tą chwilą zapóźno.

Typ człowieka jednostronnie myślącego, choćby nawet w tejże dziedzinie dochodził do dobrych rezultatów, jest typem społecznie szkodliwym i wprost nieznośnym. Iluż to mamy naprzykład inżynierów zdolnych nawet, lecz o myśleniu wyłącznie technicznem, z przymieszką myślenia przyrodniczego i taktycznego, a wypranych chemicznie z poczucia prawa lub artyzmu. Dzięki obecnej konjunkturze technicznej wydostają się na kierownicze stanowiska o szerokim zakresie decyzji, gdzie przekonani o swych zdolnościach i powołaniu do regulowania wszelkich przejawów życia, powodują dla osiągnięcia doraźnych rezultatów nagminne dziś łamanie praworządności, albo popełniają kulturalne barbaryzmy.

Charakterystycznym skutkiem braku ogólnego wykształcenia i możności uniwersalnego myślenia jest brak krytycyzmu oraz skrajność. To też wszelkie zjawiska społeczne, możliwe tylko przy gromadnym braku krytycyzmu, można nie bez słuszności przypisywać brakowi ogólnego wykształcenia w danych społeczeństwach.

Takiemi zjawiskami będą z jednej strony wszystkie skrajne i fanatyczne dzisiejsze ruchy polityczne, jak i z drugiej takie naprzykład wydarzenia, jak ostatnie zajścia w Ameryce, gdzie ludność z natury inteligentna (bo tego Amerykanom trudno odmówić) wskutek notorycznego w Ameryce zaniedbania ogólnego wykształcenia, zamieniła się w stado bezkrytycznych baranów, uciekających w popłochu przed atakami Marsjan. Pomyślmy, że ofiarami tej tragifarsy z pewnością byli ludzie niejednokrotnie zawodowo uzdolnieni i wyrobieni, może nawet posiadający jak na tamtejsze stosunki wyższe wykształcenie, oczywiście jednokierunkowe. Jest to chyba przerażający przykład, do czego prowadzi specjalizacja nie poparta należycie uprzedniem przysposobieniem umysłów do uniwersalnego myślenia.

Inteligencja wrodzona bezsprzecznie jest wielkim darem natury, ale dopiero przez ogólne kształcenie zaprawiona do odbywania wielokierunkowych dróg myślowych staje się tym cennym instrumentem, którym posługiwać się można skutecznie w każdej okoliczności życiowej. Jeśli ktoś tę zaprawę posiadł, to nie będzie bezbronnym albo szkodliwym ignorantem wówczas, gdy okoliczności zmuszą go do działania na terenie, który nie jest jego fachem. Lekarz będzie mógł skutecznie dopilnować budowy swego domu, bo myślenie techniczne nie jest dlań całkiem obce. Sędzia, sądząc sprawy zawodowe rolnika lub artysty, będzie wyczuwać istotę tych stosunków, bo umysł jego zna dyscypliny myślenia przyrodniczego lub artystycznego; tem samem nie będzie zdany na łaskę rzeczoznawców sądowych i niewolnicze trzymanie się ich orzeczeń. Urzędnik zrozumie wszystkie wymogi życia obywatela, do których, nie łamiąc prawa, nagnie swe urzędowanie. Wojskowy, polityk czy inżynier stojąc na czele instytucji nie będzie doprowadzał do rozpaczy prawników tam pracujących. — Przykłady można mnożyć bez końca. Jedno jest tylko pewne: ludzie na kierowniczych stanowiskach nie mogą być li tylko fachowcami. Muszą mieć podejście do spraw uniwersalne, wyrobione przez prawdziwe ogólne wykształcenie.

Almaviva.



...zawsze wyobrażałem sobie, że fundamenty, to coś skomplikowanego i rozbudowanego wszerz pod domem...



Od lewej: ...Chińczycy przez tysiące lat zniekształcali stopy swoim kobietom. — ...Początek jamników ginie w pomroce dziejów.

DANIELE



W porannem słońcu... (Daniel w lasach pszczyńskich).



Samiec zazdrośnie strzeże dostępu do swych rewirów i...
(poniżej) ...walczy do upadłego z każdym „intruzem".



Mieszkańcom miast, a zwłaszcza Europy zachodniej i środkowej, najlepiej może znane ze wszystkich jeleni są daniele. Dzięki bowiem łatwości oswajania się, są one częstymi mieszkańcami zarówno ogrodów zoologicznych i zwierzyńców, jak i wielkich parków, gdzie żyją na swobodzie. Szczególnie w Anglji stanowią daniele ozdobę licznych parków. Nie brak ich jednak i we Francji, Niemczech czy Szwecji i w innych krajach Europy, np. pokaźna ich ilość znajduje się i na ziemiach polskich.

Daniel różni się od zwyczajnego jelenia przedewszystkiem mniejszym wzrostem i odmiennymi rogami. Dorosły daniel dochodzi do wysokości 1 metra, a długości nieco ponad półtora, przy wadze 100—120 kg. Najbardziej charakterystyczną cechą, odróżniającą daniela od jego krewniaków, są rogi, tworzące na zakończeniach dłoniaste rozszerzenia. Również i barwą różni się od jelenia. — W lecie jest rdzawo-brunatny i biało nakrapiany, w zimie jednostajnie brunatny. Daniele wykazują wiele odmian o rozmaitych odcieniach barw. Nierzadkie są osobniki jasne lub nawet białe, przetrzymujące przez cały rok barwę swej sierści.

Daniele przypominają trybem swego życia jelenie. Nie potrzebują one tak dużych obszarów leśnych, jak jelenie; wolą także naogół tereny raczej równe. Daniele żywią się trawą, liśćmi, jagodami, w zimie częstem ich pożywieniem są młode pędy, kora młodych drzew, czy wreszcie leśne jagody.

Żyją gromadnie, tworząc większe lub mniejsze stada, przyczem stada tworzą naogół samiec i młode, a samce większą część roku przebywają samotnie. Od jeleni są mniej płochliwe i ostrożne, zwłaszcza, że obecność człowieka wietrzą dopiero z odległości ok. 300 kroków. Z natury łagodne, jedynie w porze godowej stają się samce napastliwe i niekiedy nawet może się zdarzyć, że nacierają na napotkanego człowieka. Ozdobę głowy zrzucają w maju. Nowe rogi wyrastają im do sierpnia lub września.

W niewoli, zwłaszcza na większych przestrzeniach parkowych, daniele chowają się dobrze i szybko się oswajają, będąc zwierzętami o wesołem usposobieniu. Jedynie przed zmianą pogody, a zwłaszcza przed burzą, daniel staje się niespokojny i to jego charakterystyczne zachowanie się nadało mu niekiedy używaną nazwę „przepowiadacza pogody".

Daniel zamieszkuje strefę umiarkowaną, od północnych brzegów Afryki, aż do południowej Szwecji i Norwegji. Ojczyzną jego jest prawdopodobnie Mała Azja i Mezopotamja, skąd dopiero przez człowieka został sprowadzony do Europy. W stanie dzikim żyje ponadto w Tunisie, na wyspach greckich, Sardynji i w Hiszpanji.

Do Europy środkowej i północnej został sprowadzony dopiero przed kilku, względnie kilkunastu wiekami. Wprawdzie w dawnych wykopaliskach znajdywano resztki daniela, jak np. w Niemczech czy w Ojcowie pod Krakowem, w okresie jednak lodowym, z posuwaniem się lodowca z północy ku południowi, daniel wraz z innemi zwierzętami wycofał się daleko ku południowi, w obszar śródziemnomorski, gdzie i dzisiaj zachował się jeszcze w stanie dzikim. Do niektórych krajów Europy południowej został sprowadzony dopiero przez Rzymian w III i IV wieku po Chr., a znacznie później przedostał się i do innych krajów europejskich. — Pierwsze wzmianki o występowaniu daniela we Francji pochodzą z wieku V-go. W Niemczech znany był już za czasów Karola Wielkiego, w wieku XI-tym dostał się do Danji, a stamtąd do Anglji, gdzie z czasem licznie się rozmnożył. Na Węgrzech pojawił się daniel dopiero w połowie wieku XIII-go. Zwłaszcza w wiekach średnich daniele były poszukiwaną zwierzyną, głównie dla mięsa, które uchodziło za prawdziwy smakołyk; w zachowanych „menu" uczt w zamkach książęcych czy zameczkach rycerskich nieraz figuruje pieczeń z daniela obok mięsiwa turów, żubrów, jeleni i dzików.

Dr M.

NIEME FALE GŁOSOWE

I ICH DZIAŁANIE

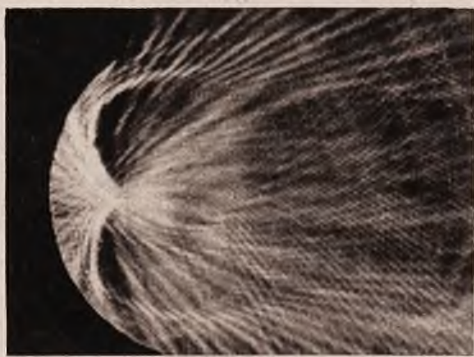
★



Fale głosowe posiadają taką siłę, że mogą spowodować oberwanie się lawiny.

Żyjemy w epoce utopji. Najbujniejsza fantazja wizjonera nie potrafiłaby wywymyśleć tylu nieprawdopodobnych zdarzeń zarówno w świecie politycznym, jak i techniczno-naukowym, jakich jesteśmy świadkami w bieżącem stuleciu, a szczególnie w latach powojennych. Jak tu dziwić się psychozie amerykańskiej, po nadaniu słuchowiska wellsowskiego „Wojna światów"? Skoro tyle baśni utopijnych z powieści Verne'a i Wellsa się urzeczywistniło, dlaczegoby „wojna światów" miała być niemożliwo[illegible]. Czyż taką samą niemożliwością nie wy[illegible] się nie tak dawno (bo cóż znaczą n[illegible] [illegible]ecia w dotychczasowych dziejach globu ziemskiego i bytowania ludzkiego na ziemi możność wysyłania wiadomości do antypodów w czasie ułamka sekundy, oblecenia dookoła globu ziemskiego w ciągu kilkudziesięciu godzin, wznoszenia się na kilkanaście kilometrów ponad ziemię w nieznaną przestrzeń atmosfery, osiągania szybkości u środków komunikacyjnych, niezbyt już odległej od szybkości rozchodzenia się głosu w powietrzu? A stworzenie wspaniałego oka elektrycznego, o wiele prześcigającego oko ludzkie, bo widzącego nawet w ciemności, czyż nie jest cudem swego rodzaju, podobnie jak budowa nadmikroskopu, powiększającego 100.000 razy? Nie będziemy mówić o osiągnięciach przemysłowej techniki, o tych wszystkich rzeczach, których tyle się namnożyło w ostatnich latach. Naprawdę moglibyśmy wyliczać jeszcze przez kilka szpalt same nazwy różnych „odkryć", wynalazków, udoskonaleń, ulepszeń i napewno nie wyczerpalibyśmy przedmiotu. Nic więc dziwnego, że ludzie stali się łatwowierni i przyjmują za dobrą monetę wszystko, co im tylko umiejętna propaganda wbije w mózgi.

Chcemy tym razem omówić pewien wycinek z ostatnich zdobyczy fizyki, które wyglądają zgoła fantastycznie, chociaż są najzupełniej realne. Czy słyszał już ktoś o „niesłyszalnych dźwiękach"? Zdawałoby się, że jest to coś sprzecznego w sobie samem. A jednak istnieje obecnie cała gałąź wiedzy, zajmująca się temi dźwiękami bezgłośnemi, podobnie zresztą, jak istnieje nauka o „niewidzialnem świetle", np. t. zw. podczerwonem, ultrafjołkowem, Roentgena i t. d. Tak samo więc istnieją drgania rozmaitych sztabek, które tem tylko się różnią od drgań strun, że są bardzo szybkie. Wiadomo, że im szybciej struna drga, im więcej tych drgań przypada na sekundę, tem „wyższy" ton wydaje owa struna. Jak długo ilość tych drgań nie wynosi więcej niż 17.000 na sekundę, to powstały dźwięk jest słyszalny. Powyżej tej granicy ucho ludzkie już nie reaguje na takie dźwięki, jest poprostu na nie głuche. Mimo to jednak dźwięki te istnieją i może jakieś inne organizmy słyszą je nawet, my w każdym razie nie, co bynajmniej nie dowodzi, abyśmy ich bezgłośnych dźwięków nie mogli wykryć i ujawnić. Udaje się to nawet lepiej może niż z zwykłymi. Przecież każdy głos rozchodząc się w powietrzu wywiera jakiś wpływ na otoczenie: roznosi energję w przestrzeni. Nie darmo mówi się, że wśród ośnieżonych szczytów górskich lepiej głośno nie rozmawiać, bo fale głosowe mogą spowodować lawinę. Znane są również wypadki, że od głośnego huku (samego huku!) runęły mury. Wpływ hałasu na system nerwowy jest również dowodem energetycznego działania tych fal głosowych. Otóż pod tym względem rzecz z falami wywołanemi przez bezgłośne dźwięki ma się jeszcze inaczej: wywołują one skutki daleko silniejszee i potężniejsze aniżeli najgłośniejsze słyszalne dźwięki, choćby pochodziły od samej „grubej Berty". Skutki te są tem wyraźniejsze, im większa jest ilość drgań płytek drgających. Umiemy dzisiaj wywołać nawet kilka miljonów drgań na sekundę, narazie jednak warto trochę zapoznać się ze skutkami tychże drgań.



Odbicie ultrakrótkich fal głosowych we wklęsłem zwierciadle.



Zdjęcie fal dźwięków ultrakrótkich w chwili, gdy przechodzą przez ciecz sąsiadującą z drgającym kryształkiem.

Zazwyczaj płytkę dźwięczącą bezgłośnie, czyli drgającą „ultrakrótko" (drgania trwają bardzo krótko) umieszczamy w zbiorniku napełnionym t. zw. olejem parafinowym. Skoro tylko płytkę pobudzimy do drgań ultrakrótkich, olej parafinowy zaczyna jakgdyby kipieć i burzyć się, chociaż temperatura jego się prawie nie zmieniła. Z powierzchni jego jakby z krateru wulkanu wydobywają się i bryzgają w górę kropelki cieczy. Ta bezdźwięczna kanonada, wprost niesamowicie działa na różne organizmy. Słabsze organizmy ulegają zniszczeniu w krótkim czasie, bakterje giną (dobry sposób desynfekcji!). ciałka krwi, jajka rybie, a nawet większe zwierzątka, jak ryby i żaby, giną w ciągu kilku minut pod wpływem działania drgań. Powodują one strącenie się płynnego białka: innemi słowy można w ten sposób jajka „ugotować" na zimno. Mleko poddane działaniu tych dźwięków niesłyszalnych staje się jałowe, wolne od bakteryj. Komórki świata roślinego i zwierzęcego ulegają rozbiciu, tworzą się w nich banieczki gazów, rozsadzające ścianki komórek. Nic w tem ostatecznie dziwnego. skoro wiemy, że człowiek może nabawić się niejednej choroby pod wpływem hałasu. Wiedzą o tem dobrze ci, co przeżyli ogień artyleryjski na froncie.

Fale głosowe powstające pod wpływem drgań ultrakrótkich rozchodzą się w powietrzu niezupełnie tak jak zwykłe fale głosowe. Można je jak światło skierować w jednym dowolnym kierunku. Taka wiązka „promieni" dźwiękowych potrafi dokonać całego mnóstwa zmian w swojem otoczeniu. Można np. zmieszać ze sobą wodę z benzyną w doskonałą emulsję, chociaż jak wiadomo, benzyna nie miesza się z wodą, to samo odnosi się do wody z rtęcią. Bromek srebra można w ten sposób tak dobrze zmieszać z żelatyną, że otrzymuje się znakomitą emulsję żelatynową światłoczułą o niebywale drobnem ziarnie.

Jest to trochę dziwne, ale ostatecznie zrozumiałe, że taka wiązka promieni może także rozszczepiać to, co nie jest zbyt silnie z sobą

połączone. Nawet pewne związki chemiczne można w ten sposób rozbić na części składowe. Cukier zwyczajny czyli sacharoza rozłożony zostaje na cukier t. zw. gronowy i owocowy. Skrobia czyli krochmal zamienia się w dekstrynę. Resztki gazu zostają wyeliminowane z cieczy, a jeżeli jest to woda, w której zwykle rozpuszczony jest tlen z powietrza, to tlen nabiera takiej aktywności, że woda działa jak woda utleniona. Dla okrętów, znajdujących się na morzu, największym dziś wrogiem jest mgła: pod wpływem bezgłośnych jęków syren dźwięczących ultrakrótko, drobniutkie cząsteczki pary wodnej skupiają się w krople i mgła się rozwiewa.

Podaliśmy tylko ogólne wyliczenie skutków drgania takiej sobie zwyczajnej płytki kwarcowej, w specjalny sposób wykrojonej z kryształu, a połączonej z generatorem prądu szybkozmiennego. W ten sposób można wywołać drgania ultraktrótkie. Opiera się to na zjawisku „piezoelektryczności". Dziwaczna nazwa, ale podajemy ją dlatego, że zjawisko to zostało odkryte przez Piotra Curie małżonka największej uczonej świata, Marji Curie-Skłodowskiej. Otóż ta „piezoelektryczność" to pewna właściwość niektórych minerałów, jak kwarc, turmalin. Polega na tem, że gdy się płytkę z nich odpowiednio wykrojoną ściska silnie i potem z tego ucisku zwalnia, to płytka ta zostaje elektrycznie naładowana, przyczem jedna strona płytki dodatnio, a druga ujemnie. Natomiast gdy płytkę naprzemian będziemy ładowali elektrycznością, pochodzącą z jakiegoś generatora prądu, to będzie się rozszerzała i kurczyła w takt tych zmian prądu. Innemi słowy „piezoelektryczność" jest odwracalna. A gdy ilość tych zmian prądu będzie bardzo liczna, to odpowiednio zwiększy się ilość tych skurczów i pęcznień płytki. A takie kurczenie się i rozkurczanie to nic innego jak tylko zwykłe drgania mechaniczne, jak np. struny poruszonej, które, jak już na wstępie widzieliśmy, mogą powodować dźwięki słyszalne lub głuche, zależnie od ich ilości.

Teraz już nieco orjentujemy się w tem, jak dochodzi do owych tajemniczych drgań ultrakrótkich. Możemy też zrozumieć, skąd się bierze ich energja. Przecież to nic innego, jak energja elektryczna, której dostarcza się płytce, a płytka figuruje tylko jako przyrząd do przekształcania energji elektrycznej w mechaniczną, lub ściślej mówiąc w akustyczną.

Gdy już wiemy, skąd się biorą owe drgania ultrakrótkie, to wrócimy znowu do niektórych ciekawych ich zastosowań, jeszcze ciekawszych, niż wyżej wspomniane. Drgania te mogą np. służyć do mierzenia głębokości mórz: Na okręcie znajduje się aparat do wytwarzania drgnień ultrakrótkich, które skierowujemy prosto wgłąb morza. Wiązka promieni dźwiękowych dotarłszy do dna morskiego, odbija się od niego, podobnie jak głos odbija się od ściany i wraca jak echo po pewnym, krótkim zresztą, czasie na okręt, gdzie zapomocą odbiornika sygnalizuje swe nadejście. Znając prędkość rozchodzenia się fal głosowych w wodzie morskiej i czas, który upłynął aż echo dźwięków bezgłośnych przybyło z powrotem do aparatu, można obliczyć z dokładnością do 10 cm głębokość morza w tem miejscu, w granicach od 50 do 500 m.

Warto wspomnieć o niemniej ciekawem zjawisku, na które naprowadziło uczonych badanie fal dźwięków ultrakrótkich. Oto udało się nawet te dźwięki unaocznić. Co za paradoks? Dźwięki, których słyszeć nie można, ale za to można je zobaczyć! Dajemy tu kilka ilustracyj, pokazujących jak dźwięki wyglądają na obrazku. Ściśle mówiąc, nie widzi się samych dźwięków, można natomiast zobaczyć fale, które pod ich wpływem powstają w płynie, na który drgania ultrakrótkie działają, podobnie jak na płycie posypanej drobniutkim piaskiem, pod działaniem głosu tworzą się szczególne figury, charakterystyczne dla danej płyty i danego głosu. Otrzymuje się w ten sposób zdjęcia niezwykłe, wprost „magicznie" wyglądające. Przypominają one niekiedy muszle, niekiedy jakieś dziwne tkaniny.



Oto wycinki pola ultrakrótkich fal głosowych o jednakowej mocy.



Ostatnie wreszcie zastosowanie dźwięków ultrakrótkich, o którem tu wspomnimy, jest niesłychanie ważne i niemniej sensacyjne. Oto można użyć tych dźwięków do wykrywania ukrytych wad różnych materjałów, głównie metali, stosując dźwięki zamiast promieni Roentgena. Aparatura roentgenowska jest bardzo droga i nie wszędzie można ją stosować. Promienie Roentgena dość szybko zostają pochłonięte, wskutek czego zbyt grubych części metalowych nie można prześwietlać. Natomiast udaje się to często zapomocą dźwięków ultrakrótkich. Przedmiot metalowy, który chcemy zbadać, dotyka z jednej strony płytki kwarcowej. Przedmiot ten łączymy z źródłem prądu elektrycznego. Drugi koniec tego przedmiotu, dokładnie wygładzony, przytyka szczelnie do naczynia z olejem. Promienie dźwiękowe wydobywające się z kryształka pod wpływem prądu, przechodzą przez przedmiot badany i powodują, że olej zachowuje się niby pryzmat na padające nań światło, to znaczy, że rozszczepia światło na tęczę. Gdy jednak w przedmiocie badanym są jakieś pęcherzyki powietrza i utajone pęknięcia, to bieg „promieni dźwiękowych" ulega zakłóceniu i widmo tęczowe wygląda już zupełnie inaczej. W ten sposób udało się wykryć niejedną wadę metalu, która nietylko dla oka była niewidoczna, ale nawet promieniami Roentgena nie można było jej wykryć.

Takie to „cuda" realizuje nowoczesna nauka. Nie rzucajmy na nią kamieniem potępienia, mimo, że niejedno jej dokonanie zostało wyzyskane dla celów zgoła nie humanitarnych i sprzecznych z zasadniczemi założeniami wiedzy ludzkiej.

Inż. J. A.

Na lewo: Oto jak wygląda aparat służący do mierzenia głębokości morza przy pomocy fal głosowych.

Poniżej: Nieme fale głosowe mają duże zastosowanie na morzu przy rozpraszaniu mgły.



FRAGMENT EPOPEI

JULJUSZ MIEROSZEWSKI



Stary sygnet otoczony rzeźbionym w złocie ciernistym otokiem z lat 63-cich — order „Virtuti Militari" dziadka Józefa z kampanji moskiewskiej, napoleoński pałasz kawaleryjski, którym dziadek Józef wyrąbał się z sotni kozackiej pod Smoleńskiem, gdy kartacz zabił pod nim konia — wyblakłe listy pisane do matki kuzyna powstańca, legja honorowa i napoleoński krzyż św. Heleny, nadany pośmiertnie dziadkowi Ignacemu — oto strzępy wielkiej epopei, na które patrzyłem w dzieciństwie.

Dwie Polski znałem wówczas i kochałem Tę w pamiątkach rodzinnych, związaną z napoleońskim dramatem — świętą, jakby oprawioną w monstrancję. Podchodziłem do niej z czcią nabożną, szeptem wymawiając za starszemi nazwy bitew i imiona poległych.

Druga Polska to ta sienkiewiczowska. W naszym pokoju dziecinnym w długie wieczory zimowe czytano nam „Ogniem i Mieczem", tomy „Potopu", „Pana Wołodyjowskiego". Znaliśmy te opowieści na wyrywki — cytowaliśmy na pamięć całe ustępy — na mapach starego atlasu studjowaliśmy bitwy i chodziliśmy szlakami Jaremy.

Marzenia nasze należały do Kmicica i Wołodyjowskiego — do tych żołnierzy nieustraszonych, pełnych zarówno junackiej fantazji, co i prawdziwej wielkości. Drewnianemi szablami rozbijaliśmy sobie nawzajem głowy z moim bratem, albo w zgodzie przemalowaliśmy ołowianych żołnierzy z austrjackich na polskich. Znaliśmy doskonale polską kostjumologję wojskową, odróżnialiśmy kolory pułków napoleońskich, specjalną sympatję objawiając do pułku 5-go strzelców, którego rotmistrzem był nasz dziad Józef.

Nie była to łatwa robota. Pudełka austrjackich żołnierzy, które przywoził nam jeden z przyjaciół Ojca z Wiednia — kąpaliśmy wpierw w gorącej wodzie a następnie tępym nożem zeskrobywaliśmy farbę. Tak oto w naszym pokoju dziecinnym na kilka lat przed powstaniem polskiego wojska „rozbrajaliśmy" Austrjaków i Niemców, bo i tych dostawaliśmy z Poznańskiego. Z umundurowaniem, a raczej przemundurowaniem tych armij nie było łatwo sobie poradzić! Zwykła farba (mimo, że mój brat wówczas uchodził za „wielkiego" malarza!) nie chciała chwytać ołowiu i trzeba było kupować tubki farb olejnych. Armje te dość licho umundurowane — były jednak polskie i walczyły na podłodze naszego dziecinnego pokoju, „odrabiając" błędy historji.

Lecz w pierwszej klasie normalnej szkoły powszechnej w Limanowej, gdzieśmy wówczas mieszkali — trzeba było od czasu do czasu śpiewać „Boże wspieraj, Boże ochroń nam cesarza...".

Z moim bratem uznawaliśmy tylko jednego cesarza, t. j. Napoleona. Potomkowie napoleońskich weteranów, przejęliśmy kult dla cesarza Francuzów mimo, iż wiele można mu było zarzucić w sprawie polskiej. To też w wypadkach, gdy trzeba było intonować austrjacki hymn cesarski, milczeliśmy z bratem hardo. Nikt na to nie zwracał specjalnie uwagi — nie mniej do dziś pamiętam ten gest.

— — — — — — — — —

Nad Limanową — małą mieściną podhalańską stała noc. W naszym pokoju dziecinnym okna pozabijane były szczelnie okiennicami i przysłonięte kocami. Siedzieliśmy z bratem przy stole, na którym paliła się mdło świeczka, nadsłuchując bliskich strzałów.

Od kilku tygodni działy się rzeczy dziwne. Limanowa przechodziła z rąk do rąk. Nocami słychać było dudnienie maszerujących wojsk i artylerji. Płynęła rzeka ludzka w równym rytmie uderzających o bruk podkutych butów żołnierskich.

Aż wreszcie, którejś nocy wszystko ucichło. Z za gór dochodził pomruk dział, a tuż przed zachodem słońca terkotał jeszcze za wzgórzem karabin maszynowy. W pełnym galopie przesunęły się jak widma patrole kozackie, które rozwiały się w mgle za zakrętem gościńca sądeckiego.

Ojciec spędzał dnie i noce w pokoju ciężko chorej matki. Nie mogliśmy nigdzie uciekać — matka nie przeniosłaby żadnej podróży.

Tej nocy usnęliśmy wcześnie. Miałem wówczas 8 lat i dobre nerwy. Mając pałasz drewniany i psa, uważałem, że mogę spać spokojnie. Długo dźwięczała mi w uszach dziwna cisza po dniu artyleryjskiej kanonady.

Dochodziła dwunasta w nocy, gdy zbudził nas ojciec. Miał oczy pełne radości i uśmiechał się do nas, podając nam ubrania. W przedpokoju słychać było brzęk ostróg, z kuchni dochodziły śmiechy. Po chwili weszło do naszego dziecinnego pokoju trzech legjonowych ułanów w pysznych czakach — jakże żywo przypominających czaka napoleońskich szwoleżerów.

— Jak się macie chłopcy!

Dopinaliśmy w pośpiechu kurtki, patrząc jak zahypnotyzowani na polskich ułanów, którzy w dźwięku ostróg kręcili się po naszym pokoju.

— Tak! dobrze tutaj będzie, tu stanie łóżko, tu przeniesiemy stół z gabinetu... tak, doskonale — mówili do ojca.

Po chwili kilku legjonistów-ułanów zaczęło w pośpiechu przemeblowywać nasz dziecinny pokój. Żelazne, gościnne łóżko zostało ustawione pod ścianą — duży stół z gabinetu połączono z naszym stołem, na którym toczyliśmy tyle bitew polskiemi żołnierzami ołowianemi.

Staliśmy z bratem pod ścianą, patrząc szeroko otwartemi oczyma. Nie umieliśmy może zrozumieć, ale zato gorąco potrafiliśmy przeczuć, że tej nocy pochmurnej wtargnęła do naszego dziecinnego pokoju Historja.

Zaczynało już dnieć. Na podwórzu zapanował ruch niebywały. Skrzypnęła stara studnia — pojono konie ułańskie. Przy rozpalonych dwóch ogniskach gotowano strawę — wszędzie dzwoniły ostrogi i śmiech.

Dom nasz przemienił się nagle jakby w scenę. Patrzyliśmy z bratem na orły na ułańskich czakach — na polskie pałasze — łowiliśmy uchem dźwięk polskiej, wojskowej komendy.

Czerwone światło wczesnego świtu przedarło się przez szyby okien i zmięszało z płochliwym błyskiem świec, gdy w progu naszego dziecinnego pokoju stanął Józef Piłsudski. Podszedł do ojca z wyciągniętą ręką i wymienił swe nazwisko. Do dziś pamiętam dźwięk tego słowa. Drugi wszedł za Brygadjerem Sosenkowski. Komendant pogładził nas po głowach i usiadł zmęczony przy stole.

Jeden z oficerów wyprowadził nas do przyległego gabinetu ojca. Pamiętam ujął nas pod ramię i gdy zamknęły się drzwi od naszego pokoju spojrzawszy nam w oczy powiedział: „Chłopcy — zapamiętajcie sobie dobrze to, coście dziś przeżyli!".

Zapamiętaliśmy dobrze.

Oficjalne źródła historyczne mówią, że Komendant Piłsudski w Limanowej kwaterował w domu dr Kazimierza Mieroszewskiego. Nie mówią jednak, że mieszkał w naszym pokoju — w pokoju moim i brata.

Przez uchylone drzwi patrzyliśmy nieraz, jak Komendant dumał pochylony nad mapami rozłożonemi na naszym dziecinnym stole. Na tym samym stole, przy którym czytano nam w zimowe wieczory Trylogję — Komendant ustawiał małe chorągiewki osadzone na szpilkach, znacząc operacje wojenne polskiego wojska. Oto w naszym dziecinnym pokoju rozgościł się kwaterą ten, co zrealizował sny i marzenia dziadów naszych — tych, co brali napoleońskie krzyże pod Smoleńskiem i tych, co zmarnieli w syberyjskich katorgach i sny nasze o Wołodyjowskich i Kmicicach — o polskiem wojsku.

Któż z was nie pozazdrości mi tych wspomnień?



NA POLU BITWY OŁOWIANEJ ARMJI...

Fot. Józef Podbrożny, Nowy Sącz.



Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

Idziemy w świat...

PIEŚŃ

Słowa:
JÓZEF GAŁUSZKA

Muzyka:
KAZIMIERZ MEYERHOLD

★ ★ ★

Idziemy w świat zwycięskim mocnym krokiem,
aż ziemia drży w łoskocie prężnych nóg.
Błękitów dal mierzymy orlem okiem:
gdzie słońce lśni u celu naszych dróg.

Choć wicher nam zamiecie świat kurzawą
i w czerni chmur ponury warknie grzmot,
pójdziemy wprzód ze złotą naszą sławą,
co serce rwie w podniebny, orli lot.

★ ★ ★



Dolina Śmierci

WANDA DE RICHE

N·O·W·E·L·A

Promienie wschodzącego słońca spływały wzdłuż ośnieżonych stoków górskich i sięgały w dolinę, która była spowita w przejrzystą mgłę. Białe wierzchołki olbrzymów skalnych widniały w oddali na nieboskłonie, przystrojonym jeszcze w cienie gwiazd, niknących stopniowo w rannej poświacie.

Sześcioro wędrowców, strudzonych ustawicznem wspinaniem się na urwiska i szukaniem drogi wśród głazów i piargu, odetchnęło z ulgą, ujrzawszy leżącą wśród gór małą kotlinę, której żywa zieleń wróżyła im odpoczynek na kobiercu z mchów, kwiatów i traw. Otwierała się ku nim wąską gardzielą, obramowana kępami drzew, oddalonych o niespełna pół kilometra od przełęczy i wtulonych między strome, prawie prostopadłe, zbocza górskiego łańcucha.

Salecki oglądnął się za siebie raz jeszcze. W porównaniu z pustką i chłodem kamienistej wyżyny, którą przebyli, uciekając przed hordą dzikich tubylców, zejście w dolinę wydawało mu się zbawieniem. Czas był najwyższy wydostać się z tego nieznanego zakątka Zachodnich Himalajów, w którym wraz z towarzyszami szukał schronienia po rozbiciu ekspedycji naukowej, wprowadzonej w zasadzkę przez przewodnika zdradzieckiego. W istocie, powinien był dziękować Bogu, że zdołał uchronić od śmierci przynajmniej część powierzonych mu ludzi, a przedewszystkiem Amy Robson... jego Amy.

Schroniwszy się w góry, wiódł ich ku południowi, nie wątpiąc, że wcześniej lub później natknie się na wysunięte naprzód posterunki angielskiej straży granicznej. Od dwudziestu czterech godzin żywili się już tylko sucharami, które stanowiły resztki ich zapasów. Przywykli do znoszenia trudów trzej żołnierze, maszerowali raźno, ale siły zaczęły ich już opuszczać. Z młodym Vervey'em, botanikiem ekspedycji, którego wywiodła w góry chęć poczynienia ciekawych obserwacyj naukowych, było znacznie gorzej. Wprawdzie rana, jaką otrzymał w nieszczęsnej potyczce, okazała się lekką, był jednak bardziej wyczerpany, niż inni, a jego błyszczące oczy świadczyły, że gorączkuje. Amy, która przez cały czas trzymała się dzielnie, zdradzała również objawy wyczerpania.

Ale i sam Salecki czuł się nieświetnie. W czasie przeprawy przez rwący potok górski, potknął się i upadł. Przemoczone ubranie wyschło wprawdzie na jego ciele podczas wędrówki, ale rezultatem tej niefortunnej przygody był silny katar, który dawał mu się bardzo we znaki i którego nie mogła usunąć włożona do nosa wata formalinowa, dar poczciwego doktora Fergusona z Scinagaru. Czasami ogarniała go rozpacz. Wyprawa przybrała bądź co bądź fatalny obrót, a z kilkunastu ludzi, wchodzących w skład jej jeszcze przed kilku dniami, pozostała tylko garstka.

Poranne słońce rzucało swe blade promienie na zmęczone twarze wędrowców, którzy wciąż jeszcze drżeli z zimna po nocy, spędzonej wśród burzy w niewielkiem zagłębieniu skalnem. Budził się dzień, który miał zadecydować o ich ocaleniu, to też gdy na przełęczy rozpostarł się przed oczyma zbłąkanych widok pokrytej zieloną runią doliny, przyspieszyli kroku, aby dostać się do niej, jak najprędzej.

Wiatr przestał dąć i od strony wąwozu napłynęło cieplejsze powietrze. Amy wyciągnęła ręce, zwracając równocześnie ku narzeczonemu swą bladą twarzyczkę, na której pojawił się słodki uśmiech.

— Nareszcie... nareszcie ocaleni! — szepnęła.

Poprzez głazy, pokrywające zbocze góry przedostali się do łożyska wyschniętego potoku. Tworzyło ono, jakby skalną rynnę, zrazu płytką i szeroką, pogłębiającą się jednak w miarę, jak schodzili niżej, wyściełające ją kamyki i żwir chrzęściły pod stopami wędrowców, którzy szli bez słowa, z zapartym oddechem, nie zatrzymując się ani na chwilę. Vervey otwierał pochód, a Salecki kroczył ostatni, tuż za Amy.

Zaraz za źródłem u podnóża urwiska, które stanowiło jakby granicę między górską pustynią i wąwozem, teren stał się względnie równy, a między głazami pojawiły się krzaki i zarośla. Kępy rdzawego mchu, wypełniającego zagłębienia skalne, zaczęły ustępować miejsca paprociom, których pierzaste liście wychylały się z głębokich szczelin. Trawa, coraz bujniejsza i coraz gęstsza, zakrywała stopniowo przed oczyma zbłąkanych kamieniste dno doliny, a na przyległych zboczach pojawiły się brzozy i akacje, które zieloną, szeroką smugą oddzielały wąwóz od szarych urwisk skalnych.

Dolina przekształcała się zwolna w czarowny jakiś zakątek, przybrany w świeżą ruń i barwne, egzotyczne kwiaty.

— Patrzcie! Odontoglossum! — zawołał Vervey, wskazując na kępy wspaniałych storczyków. — A tam... przecież to najpiękniejsze iatley'e, jakie w życiu widziałem!...

Zachwycał się, jak dziecko tem morzem kwiatów, których korony kąpały się w świetle słonecznem, zapomniawszy o przebytych cierpieniach. Amy spoglądała również szeroko otwartemi oczami na łany storczyków i pierwiosnków, kołyszących się nad kobiercem z ziół, traw i paproci.

— Jak w raju! — szepnęła, patrząc na narzeczonego.

— Jak w raju — powtórzył Vervey i syknął z bólu, gdyż rana znowu zaczęła mu dokuczać. Salecki spojrzał z niepokojem na bladą twarz botanika, który przystanął i zachwiał się. Amy i jej narzeczony podtrzymali go, aby nie upadł.

— To nic — rzekł Vervey. — Chwilowe osłabienie... Nie zatrzymujmy się!... Teraz, kiedy jestem pewny, że niebezpieczeństwo minęło, czuję, że wracają mi dawne siły...

Rosnące na zboczach brzozy zamykały w odległości kilkudziesięciu kroków całą dolinę, tworząc niewielki gaj. Wędrowcy weszli w cień i wymijając krzaki głogu, zbiorowiska ostów i innych roślin kolczastych, przedostali się na wąską polanę, otoczoną zewsząd drzewami. I tu rosły wspaniałe kwiaty, zieleniła się pyszna trawa, a powietrze przesycone było słodkawą wonią. Brzozy i akacje osłaniały polanę przed wiatrem tak, że w zakątku tym panowała zupełna cisza.

— Androsace primuloides, anemone polyanctus, morina longifolia — powtarzał botanik, oczarowany, chłonąc chciwie upojny zapach kwiatów. Tylko w Kaszmirze widziałem równie piękne okazy, ale nigdy w takiej ilości. A najciekawsze są te czerwone i pomarańczowe odmiany storczyków... Coś zupełnie nieznanego!

— Spoczniemy! — rzekł Salecki tonem zdecydowanym.

W tej chwili idący na przodzie żołnierz wydał lekki okrzyk. Towarzysze jego pochylili się nad bielejącymi wśród traw przedmiotami.

— Szkielety!... Jeden, drugi, a tam trzeci... — szepnął Vervey.

Amy wzdrygnęła się, a Salecki dał znak ręką: — Zatrzymamy się na drugim końcu polany — rzekł, niemile dotknięty.

Oglądnęli pobieżnie rozrzucone szczątki ludzkie. Musiały spoczywać tu już długie miesiące, gdyż między żebrami zczerniałych kośćców wyrosły osty, a rozsypane kręgi pokryła w części ziemia.

— Tubylcy — rzekł jeden z żołnierzy, wskazując na włócznię, której żeleźce zabłysło w świetle słonecznem. Znaleziono i dalsze dwie. Drzewca ich były spróchniałe, ale stalowe ostrza oparły się względnie dobrze wpływowi rdzy. — Wojownicy, którzy wracali z wyprawy... — dodała Amy, odwracając głowę.

Nikt nie odpowiedział. Komentarze nie były potrzebne.

Ruszyli w stronę kępy brzóz, która dzieliła od siebie dwa łany wspaniałych, czerwonych storczyków. Trawa nie była tu wysoka, a widoczny gdzieniegdzie miękki mech wskazywał, że grunt posiada więcej wilgoci. Od strony gór zamykał polanę mur kwiecia, krzewów i wysokich ostów, widocznych również między drzewami, u stóp skał.

— Rozbijemy namiot! — rzekł Salecki i dodał, zwrócony w stronę Vervey'a. — Rana musi ci dokuczać...

Ale zanim żołnierze spełnili rozkaz, dokonano nowego, niespodziewanego odkrycia. Pomiędzy kwiatami znaleziono dalsze dwa szkielety, tym razem człowieka i konia. Spoczywały obok siebie, ledwie widoczne, na miękkiem łożu z traw. Resztki uprzęży, strzemiona, nawpół zbutwiałe siodło, a na kościach jeźdźca pas z metalowych sprzączek, z przymocowanym do niego długim nożem — oto wszystko, co pozostało po nieznanym wędrowcu. Trudno było rozstrzygnąć, czy znalezione uprzednio szkielety należały do jego druhów, których spotkała śmierć w odległości zaledwie kilkudziesięciu kroków, czy też był to człowiek im zupełnie obcy. Zwłoki jego, równie, jak zwłoki tamtych, zniknęły w morzu ziół leśnych, bujnych chwastów i przepysznych, czarownych kwiatów.

Salecki zadumał się. Przesunął ręką po czole, a widząc, że żołnierze przystępują w odległości jakich trzydziestu metrów do rozbicia namiotu, odetchnął z ulgą.

Amy usiadła na ziemi, w pobliżu kępy wspaniałych storczyków, których kielichy chyliły się ku niej, jakby z ciekawością. Była zmęczoną... Jej podkrążone oczy i blada twarz dowodziły, że potrzebuje koniecznie wypoczynku. Vervey położył się na murawie, podparł głowę rękoma i wciągał z lubością słodkawy zapach kwiatów.

Żołnierze rozbili namiot i wyciągnęli się również na ziemi. Gotowali się do drzemki.

— Przyjdź tu do nas, George! — zapraszała Amy narzeczonego. — Należy ci się również wypoczynek. Jesteśmy tu bezpieczni...

Salecki rozglądał się dokoła. — Zaraz przyjdę, kochanie — rzekł. — Muszę wpierw zorjentować się, w którą stronę mamy podążyć.

— Nikt już nas nie ściga — odparł botanik. — Droga wiedzie na południe...

Ale Salecki pragnął się upewnić. I on poddawał się mimowoli czarowi doliny kwiatów. I on chciał, jak najprędzej wyciągnąć się na murawie. Ale zdawał sobie sprawę, że odpowiada za życie tej garści ludzi, którzy mu zawierzyli.

Wolnym krokiem ruszył przez polanę. Wymijał kępy ostów, brodził wśród storczyków, deptał kielichy nieznanych kwiatów, które zdawały się bronić mu wstępu do tej zaczarowanej krainy, dążył jednak uparcie ku przeciwległym zboczom wąwozu.

Rzecz dziwna, mimo bujnej wegetacji, która przyprawiała o podziw, panowała w dolinie zupełna cisza. Mała ilość much i wszelakiego rodzaju owadów błonkoskrzydłych sprawiała, że nie było słychać charakterystycznego brzęczenia, do którego przywykło ucho na kwietnych łąkach nizin i równin nadrzecznych. Tylko wielkie, błękitne motyle przelatywały bezszelestnie w powietrzu, trzepocąc skrzydłami i krążyły nad polaną w poszukiwaniu słodyczy. Ptaków nie było widać, a gęste zarośla nie rozbrzmiewały ich śpiewem. Nawet tak pospolite w Himalajach jaszczurki należały w miejscu tem widocznie do rzadkości. Kraina kwiatów, upojnych, odurzających kwiatów, nie była, jak się okazawało, gościnną. Salecki zatrzymał się przed żywopłotem z dzikich róż, który zatarasowywał mu drogę. W chwili, gdy szukał przejścia przez tę kolczastą przeszkodę, do uszu jego doleciał okrzyk od strony obozowiska, które opuścił przed dziesięciu minutami. Nie był to krzyk przestrachu, a raczej wołanie o pomoc, dziwnie jednak stłumione i przygłuszone.

Zawrócił natychmiast i znalazł się znów na skraju brzozowego lasku. Przebiegł przez polanę i stanął obok namiotu. Szybkiem spojrzeniem obrzucił towarzyszy. Leżeli spokojnie. Tylko Vervey szamotał się, jakby w paroksyźmie strachu.

— Śmierć! To śmierć! Czy nie rozumiesz — jęczał, wijąc się na ziemi.

Salecki podbiegł do niego, przekonawszy się, że Amy śpi opodal na murawie. Twarz Vervey'a była sina. Dyszał ciężko, ale starał się mówić, jakkolwiek sprawiało mu to wielką trudność.

— Uciekaj! Ratuj narzeczoną!... — szeptał zczerniałemi wargami. — Tu krąży śmierć...

— Uspokój się — rzekł Salecki. — Nęka cię gorączka. Oni śpią... — Wskazał na Amy i trzech żołnierzy.

Vervey zaczął gestykulować, wypowiadając słowa bez związku: — Oni pomarli... I ja umieram... Te szkielety tam, na polanie... Zginęli, jak my, w dolinie śmierci... Nie czujesz odurzającej woni kwiatów... woni, która zabija?...

Umilkł, a na ustach jego pojawiła się piana. Przerażony Salecki, pochylił się nad botanikiem. Do uszu jego doleciało jeszcze tylko ciche wezwanie: Uciekaj!

Woń, która zabija... całe pola kwiatów i brak śladów zwierzęcego życia... Sen, który może jest śmiertelny... W głowie Saleckiego budziły się i przepadały najrozmaitsze myśli.

Rzucił raz jeszcze okiem na siną twarz Vervey'a, który ucichł i znieruchomiał i podbiegł do najbliżej śpiącego żołnierza. Odwrócił go na wznak. Tak... to nie był sen! Leżący przed nim człowiek nie oddychał, a od rąk jego szedł dziwny chłód. Drugi był również trupem. Trzeci... Nie, nie miał czasu na oglądanie trzeciego zmarłego, gdyż w jednej chwili zdał sobie sprawę, że Vervey mówił prawdę. W dolinie czaiła się śmierć, zbierając podstępnie swe ofiary.

— Amy! — zawołał i chwycił w ramiona bezwładną postać. Nie dawała znaku życia, ale serce jej biło jeszcze. — Uciekaj! — przypomniał sobie słowa botanika. — Tutaj zabija woń kwiatów...

Ogarnięty panicznym strachem o życie ukochanej kobiety, zaczął biec, trzymając ją na rękach. Biegł szlakiem, którym przybyli, przez łany storczyków, kępy ostów, chwasty i paprocie, w stronę przełęczy. Byle zdążyć! Byle mogła zaczerpnąć świeżego powietrza!...

Zrozpaczony, czując, że za gardło dławi go lęk przed niepewnością, biegł bez ustanku. Każda minuta wydawała mu się wiekiem, każdy krok wyzwoleniem. Kwiaty stawały się coraz rzadsze, pojawiły się mchy i paprocie, później nieliczne krzewy i chwasty, wreszcie kamieniste podłoże. Jeszcze jeden wysiłek i zatrzymał się przy źródle, pod urwiskiem.

Złożył na piargu ciało Amy i zaczerpnął wody. Zwilżył jej skronie, oblał twarz, rozpiął chustkę pod szyją. Serce biło słabo, ale kobieta nie chciała oddychać... Zaczął nacierać ją zimną wodą. Nie poruszała się. Chwycił zemdloną za ręce i zastosował sztuczne oddychanie.

Te kilka minut były chyba najstraszniejszemi w jego życiu. Rozpacz i nadzieja budziły się naprzemian w sercu nieszczęsnego. Przecież jeszcze nie wszystko stracone! Chyba zdążył unieść Amy na czas z doliny zabójczych kwiatów?!

Podnosił ręce leżącej na ziemi kobiety wysoko wgórę i zbliżał je znów do jej piersi. Jeszcze, jeszcze... Tylko wytrwałości!

Był zupełnie wyczerpany, ale wkońcu zdołał zbudzić do życia zemdloną. Radość rozpierała mu serce... Jeśli tamci umarli, uchronił od śmierci tę, która była mu wszystkiem na ziemi.

Teraz dopiero, kiedy zniknęła zmora rozpaczy, mógł zebrać myśli. Jeśli biedny Vervey w przedśmiertnej agonji mówił prawdę i jeśli w istocie upajająca woń tysięcy kwiatów w głębokiej kotlinie, osłoniętej zewsząd stromemi skałami, zabijała zbłąkanych wędrowców, to czemuż on... on jeden nie dał się odużyć?... Ależ tak... Zbawiła go przesycona formaliną wata, którą włożył do nosa z obawy przed katarem... wata Fergusona!

Amy ocknęła się. Kilka łyków brandy z polowej flaszki Saleckiego dokonało cudów. A może było to dzieło pocałunków narzeczonego?

Słońce zaczęło skłaniać się ku zachodowi, a od strony gór dął już zimny wiatr, kiedy oboje zdecydowali się wreszcie na dalszą wędrówkę. Zawróciwszy na przełęcz, ruszyli grzbietem górskim, omijając fatalną dolinę, która jeszcze niedawno wydawała się im rajem ziemskim.

W dwa dni później patrol regularnych wojsk indyjskich natknął się w górach na parę zbłąkanych, wpółprzytomnych wędrowców. Opowiadania ich o dolinie śmierci i wspólnym grobie, jaki w niej znaleźli czterej ludzie biali, wydawały się wszystkim niezrozumiałemi. Nawet ustalenie nazwisk członków wyprawy nie zdołało rozproszyć wątpliwości. Tylko nieliczna garść tubylców na wieść o wąwozie pełnym czarownych kwiatów, w którym ginie każdy przechodzień, uśmiechała się znacząco. Wielki jest Siwa i wielkiem jest jego dzieło, kraina śniegu, kraina śmierci, Himalaje!

U BRZEGÓW BRAZYLJI...
Sprzedawcy owoców w Santos
Fot. inż. W. Chromiński — Kraków



NOWOCZESNA KOSMETYKA

XXV.

Masaż ramion





Powyżej: Po masażu zmywamy ramiona płynem ściągającym, a następnie lekko je pudrujemy.
Fot. F. Fuerst — Paryż.

Na lewo: Ramiona masujemy ruchem wirowym od przegubu ręki aż do samej góry.

Na prawo: Specjalną uwagę poświęcamy łokciom.





Na lewo: Złożywszy rękę w pięść, wykonujemy t. zw. „masaż klepany".

Na prawo: Zakończenie masażu ramion stanowi uderzanie ich płaską dłonią.



Budowa naszego ciała odbiega w szczegółach znacznie od ideału. Ileż razy widzimy ładną buzię przy rażących brakach figury lub naodwrót. Ale żadna z tych upośledzonych nieco osób niema powodu do rozpaczy: kultura ciała i nauka jej poświęcona, tak wielkie poczyniły postępy w ostatnich latach, że z ich pomocą wiele nieprawidłowości można usunąć, poprawić lub wypracować odpowiednimi zabiegami.

Chcąc korygować błędy trzeba jednak poznać przedewszystkiem ich przyczynę, trzeba zdawać sobie sprawę z czynników, działających ujemnie.

Przypatrzmy się, jakiemi drogami szedł rozwój fizyczny dzisiejszej kobiety, na której barkach spoczywa tyle odpowiedzialnych obowiązków w noczesnym ustroju społecznym. Nie minęło jeszcze ćwierć wieku, kiedy dopiero uświadomiono sobie powszechnie, że musi się przez gimnastykę, masaże i zabiegi kosmetyczne kształcić mięśnie i dopomagać naturze w należytem utrzymaniu fizycznej tężyzny całego organizmu kobiety. Nie znały tych prawd poprzednie pokolenia, chyba, że sięgnęlibyśmy aż do czasów starożytnej Hellady.

Dopóki jeszcze praca fizyczna spełniała rolę dzisiejszej gimnastyki, sprawa nie przedstawiała się najgorzej. Ale im dalej od tej pracy fizycznej oddalały się pokolenia kobiet, przystosowując się do życia w mieście, tem wyniki stawały się coraz bardziej opłakane. Rezultatem tego życia okazał się nietylko niedorozwój, ale i częściowy zanik pewnych mięśni, skazywanych na bezczynność przez całe pokolenia.

Do nich należą przedewszystkiem mięśnie ramion. Piękna pani nie pracowała przecież fizycznie, nie nosiła ciężkich przedmiotów, nie piastowała dzieci na rękach — nie uprawiała sportów, nie pracowała w ogrodzie, bo to wszystko sprzeciwiałoby się pożądanej delikatności jej rączek.

Dziś całkiem odmiennie zapatrujemy się na te sprawy. W zakresie pracy fizycznej, która wyrabia mięśnie, podejmujemy się wielu czynności bez obawy zgrubienia delikatnej skóry rąk, czemu przecież potrafimy skutecznie przeciwdziałać, gdy tymczasem wzmacniamy mięśnie ramion, pozostających bez ruchu przy pracy umysłowej.

Aby przytem dopomóc naturze w należytem funkcjonowaniu mięśni ramion, należy od czasu do czasu powtarzać auto-masaż, którego celem jest ponadto usuwanie gromadzących się złogów kwasowych, łatwiejszych do pokonania, gdy je rozmasujemy.

Nie każda z pań może sobie pozwolić na masażystkę, ale każda nauczyć się zdoła z naszych opisów i rycin, w jaki sposób masować ramiona. Obejmujemy dłonią rękę w przegubie i wirującym ruchem masujemy ją od dołu ku górze, poczem powracamy do punktu wyjściowego i znów powtarzamy masaż w zasadniczym kierunku ku górze.

Po przemasowaniu tym sposobem obu rąk przystępujemy do klepania, ręką zwiniętą w pięść, potem płaską dłonią. Pobudza to szybsze krążenie krwi i pozostawia ręce i ramiona na dłuższy czas w ciepłocie.

Masaż ten polecamy też w szczególności osobom, cierpiącym na zimne ręce, które zazwyczaj chcą się bezskutecznie ratować moczeniem rąk w ciepłej wodzie, co wywołuje przeciwny zamierzeniom skutek. Tylko żywsza bowiem cyrkulacja krwi wprowadzić może miłe uczucie ciepła w naszych rękach. kach.

Elwira.

Życie

TOWARZYSKIE i ARTYSTYCZNE

„ORMIANIN Z BEJRUTHU" A. GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO NA SCENIE KRAKOWSKIEJ







Teatr krakowski im. J. Słowackiego, przodujący innym scenom w popieraniu i wprowadzaniu do repertuaru nowości współczesnych polskich autorów, wystawił świeżo najnowszą sztukę Adama Grzymały-Siedleckiego p. t. „Ormianin z Bejruthu". Komedja ta unika jakiejkolwiek problematyki społecznej. Autor stara się przedewszystkiem o komizm charakterów ludzkich i zabawną akcję. Anegdota sztuki jest zręcznie przeprowadzona. Tło egzotyczne bliskiego Wschodu nakreślone żywo i barwnie, a główne postacie sztuki stworzone wyrazisćie wyborną techniką komedjową. Odnosi się to przedewszystkiem do tytułowej postaci komedji i roli służącego Egipcjanina. Komedja Grzymały-Siedleckiego, któremu publiczność krakowska na premjerze zgotowała gorącą owację, przygotowana została reżysersko przez J. Karbowskiego, a oprawę dekoracyjną dał sztuce K. Gajewski. W tytułowej roli kapitalną kreację stworzył Kazimierz Fabisiak. — Na zdjęciach naszych (od lewej): Scena z pierwszego aktu komedji między K. Fabisiakiem (Ormianin z Bejruthu) i M. Arczyńską (Marja). — Owacja po drugim akcie: K. Fabisiak, A. Grzymała-Siedlecki, Z. Mrożewski, M. Arczyńska i K. Opaliński. Scena z aktu III między K. Fabisiakiem i H. Wrońskim (Indywiduum lewantyńskie).

Fot. Dr. Azet — Kraków.

K R O N I K A Ś L U B N A



W ub. miesiącu odbył się w Karwodrzy pod Tarnowem ślub p. Marji br. Berké, córki Jana i Karoliny z Agopsowiczów z p. inż. Mieczysławem Kotłowskim, synem inż. Kazimierza i Marji z Przybyłowiczów, agronomem i górnikiem. Związek pobłogosławił w kaplicy dworskiej, ks. prał. Wcisło. W uroczystościach ślubnych wzięli udział krewni rodzin państwa młodych i licznie zaproszeni goście. Na zdjęciu obok: Państwo młodzi w otoczeniu orszaku ślubnego, wśród którego widzimy członków górniczej korporacji „Gnomja".

SŁAWA BESTANI



Artystka Opery poznańskiej Sława Bestani wystąpiła ostatnio z wielkiem powodzeniem w roli Biruty w widowisku baletowem Maliszewskiego „Syrena". — Fot. Dorys, Warszawa.

Z WYSTĘPÓW HANKI ORDON



Występy Hanki Ordonówny, która objeżdża obecnie z koncertami miasta prowincjonalne, cieszą się, jak zwykle dotąd, wielkiem zainteresowaniem publiczności, oklaskującej żywo świetne kreacje naszej diseuse'y.

Fot. Dr Azet — Kraków.

TANIEC GWIAZD



Marta Eggerth i Jan Kiepura, bawiąc na wywczasach na francuskiej Riwierze, tańczą tam modnego dziś „Lambeth walk'a". Wkrótce Kiepura rozpocznie występy w operze paryskiej.

C O D Z I E N N A

GIMNASTYKA DAJE:

1: ODPORNOŚĆ FIZYCZNĄ!
2: HARMONJĘ RUCHÓW!
3: MŁODĄ SYLWETKĘ!

B



C



A **Ćwiczenie pierwsze:** skłony w bok z oparciem nogi na fotelu.

B **Ćwiczenie drugie:** unoszenie ciała na ręce z pozycji leżącej.

C **Ćwiczenie trzecie:** przeginanie ciała w tył.

A



Nie każda z pań jest właścicielką automobilu, ale każda potrafi wyobrazić się w roli właścicielki pięknego wozu, którego szofer ma obowiązek dbać o należyty stan zewnętrzny auta i całego wewnętrznego mechanizmu.

Czy pozwoliłaby piękna pani, aby wóz nie był zawsze w jak największym porządku, aby szofer zaniedbywał utrzymanie maszyny w należytym stanie?... Oczywiście, że nie!

Pytam nie bez głębszej racji, pragnę tylko lepiej podkreślić ważność koniecznych zabiegów o tę najprecyzyjniejszą maszynę, jaką posiadamy, a którą jakże często zaniedbujemy. Jest nią nasz własny organizm.

Nie wolno nam go pozostawić samemu sobie, jak to czynił człowiek, przebywający głównie na łonie natury. Dzisiejszy ustrój naszego życia, jego rozliczne obowiązki, szalone tempo, praca umysłowa, przebywanie w zamkniętych lokalach i zepchnięta z porządku dziennego sprawa istotnej tężyzny fizycznej, każą szukać pomocy w gimnastyce.

Stopień doskonałości fizycznej osiągniemy, wstawiając wcześnie ćwiczenia gimnastyczne w skład codziennego programu prac. Pierwszy rzut oka na nasze zdjęcia, przedstawiające cykl doskonałych ćwiczeń dla młodych dziewcząt, powie nam, iż wymagają one nader wysokiego wyrobienia mięśni i sprawności fizycznej. Ale trudności, jakie wyłonią się z nich dla pani po czterdziestce, pokona z łatwością organizm ośmnastolatki, przygotowanej należycie gimnastyką szwedzką, uprawianą od dziecka, jakoteż gimnastyką na przyrządach, rozpoczętą w odpowiednim wieku.

Ćwiczenie I: Stanąwszy w odległości kroku od fotela, wspieramy na nim jedną nogę i skłaniamy się silnie w przeciwną stronę, wyciągając ramiona w bok. Powtarza się to ćwiczenie po 5 razy dla każdej nogi. Biorą w niem udział wszystkie mięśnie, więc dobrze jest rozpoczynać niem codzienne ćwiczenia.

się w górę cały ciężar ciała przez opuszczanie ramion do pozycji poziomej względem tułowia, wspierając się na złączonych na ziemi stopach. Powtórzyć ćwiczenie 5 razy na każdem ramieniu. Wzmacnia ono mięśnie jamy brzusznej, klatki piersiowej i kręgosłupa.

Ćwiczenie 3: Z pozycji leżącej na brzuchu unosimy górną połowę ciała i zginamy nogi w kolanach, aby wyciągniętemi w tył ramionami ułatwić ujęcie stóp dłońmi. Po 5-ciokrotnem powtórzeniu ćwiczenia, wypocząć, zakładając ręce pod głowę i raz jeszcze wykonać je pięć razy. Wyrabia ono grupę mięśni brzusznych a zwłaszcza przeponę piersiową oraz uda i ramiona.

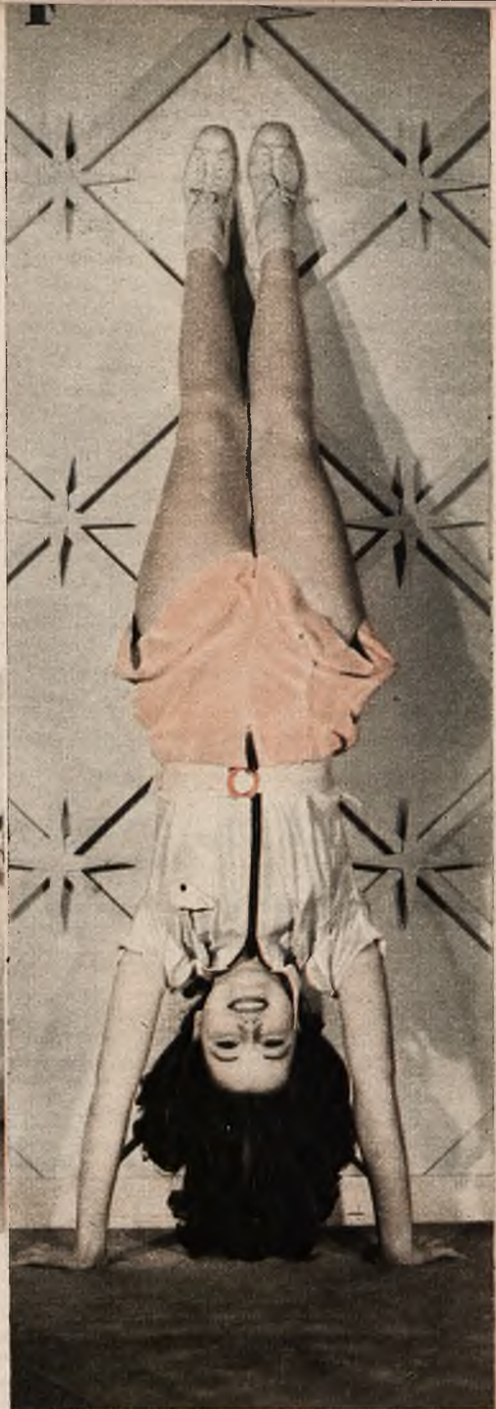
Ćwiczenie 4: Klęknąwszy na podłodze oprzeć się na niej dłońmi a następnie unieść tułów w górę, wyprostowując nogi w kolanach aż do oparcia się jedynie na ich palcach. Powtórzyć ćwiczenie 10 razy. Ćwiczenie to wymaga koordynacji pracy wszystkich mięśni, szczególnie tych, które współpracują przy utrzymaniu organów wewnętrznych, przyczyniając się do zachowania ich właściwej pozycji.

Ćwiczenie 5: Usiąść na podłodze a następnie oprzeć ramiona na podłodze, podnosząc się na rękach i nogach w górę z opuszczeniem głowy w tył. Z tej pozycji wyprężać tułów w górę i wracać do położenia poziomego po 5 razy z odpoczynkiem. Uda, ramiona i mięśnie brzucha, klatki piersiowej i kręgosłupa, pracują tu bardzo intensywnie.

Ćwiczenie 6: Z przysiadu, przy którym wspieramy dłonie silnie na podłodze, wyrzucamy całe ciało w górę, wspierając nogi o ścianę, przy której ćwiczymy. Pozostać tak, licząc do 5-ciu, a codzień przedłużając liczenie aż do 20-tu. Ćwiczenie to powtarza się 2—3 razy, nie więcej, bo silnie wyczerpuje. Ma ono za cel nietylko wzmocnienie mięśni, ale także spowodowanie szybszego obiegu krwi w twarzy, co działa dodatnio na odświeżenie cery, która zyskuje zdrowe, naturalne rumieńce.

Dając cykl tak interesujących ćwiczeń gimnastycznych, radzimy ćwiczyć je wolno, po jednem przy innych, łatwiejszych ćwiczeniach, aby zwolna dojść w nich do perfekcji, bez forsowania sił, co byłoby nietylko zbędne, ale wprost szkodliwe. Opanowawszy technikę tych ćwiczeń, wykonywać je będziemy z prawdziwą przyjemnością, czując ich dobre skutki w lepszem samopoczuciu, przypływie energji i poprawieniu się cery. **Vera.**


D


F


E

Ćwiczy: HELEN PARRISH

D **Ćwiczenie czwarte:** wyprostowywanie nóg z pozycji klęczącej.

E **Ćwiczenie piąte:** unoszenie ciała w pozycji, tworzącej t. zw. mostek.

F **Ćwiczenie szóste:** oparłwszy nogi o ścianę, stajemy na rękach (świeca).

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.

HOLENDERSKA ZUPA ZIEMNIACZANA. Na maśle przysmaża się małą posiekaną cebulkę oraz wszystkie jarzyny, które się zwykle daje do rosołu. Następnie dodaje się dwa duże pokrajane w parę części ziemniaki, zalewa rosołem, nagotowanym z kości i gotuje, posoliwszy wprzód, aż wszystko zmięknie: wtedy przeciera się jarzyny wraz z ziemniakami i dodaną zasmażką, sporządzoną z łyżki masła i mąki, zagotowuje, wkłada 10 dkg kiełbasy sardelowej, pokrajanej na plasterki lub tyleż wędzonki, podgrzewa przez kilka minut i wydaje na grzankach z chleba, potartych (dla amatorów) czosnkiem.

KOTLECIKI Z DYNI (dla jaroszy). Obraną z łupiny i oczyszczoną z włókien i miękkich części dynię, kraje się w podłużne, na palec grube kawałki, soli je i kropi sutο cytrynowym sokiem, przykrywa talerzem, obciąża trochę i odstawia na godzinę, poczem obsusza się kawałki dyni na serwecie. Z białka jednego jaja ubija się pianę, która się następnie miesza z żółtkiem i soli. Obsuszone kawałki dyni osypuje się mąką, macza w pianie jajecznej, posypuje tartą bułeczką i smaży na rozpalonem maśle, zmieszanem z oliwą. Kotleciki podaje się obłożone ziemniaczkami, osobno sałatkę z surowych pomidorów. Jako dodatek duszone pomidory i ryż.

PAPRYKA Z POMIDORAMI. Z 6 dużych zielonych papryk wykrawuje się szypułkę i wyskrobuje oraz wymywa dokładnie wewnątrz, następnie kraje w krążki i rzuca na przysmażoną na maśle cebulkę. 25 dkg pomidorów przekrawuje się na połówki, dorzuca do papryki i dusi razem pod przykryciem, nie dolewając wody, aż się wszystko rozgotuje tak, żeby się dało przetrzeć przez sito. Przetartą masę podgrzewa się, dodaje szczyptę soli i cukru do smaku i wydaje obłożoną sadzonemi jajami lub też wbija wprost do masy 2—3 jaja i miesza na ogniu aż się jaja zetną.

ZRAZY Z SANDACZA Z SARDELAMI. Z oczyszczonego sandacza wyjmuje się ości, odcina głowę i ogon, i nastawia te odpadki do gotowania. Mięso sandacza kraje się w zrazy na palec grube, smaruje je farszem, utartym z mleczka rybiego i wątróbki, jajka, smażonej cebulki oraz łyżki rozmoczonej w mleku bułki. Posmarowane tym farszem zrazy zwija się, owiązuje nitką, obsmaża na rozpalonem maśle, następnie układa w rynce, posypuje siekanemi sardelami, podlewa rosołem, nagotowanym z odpadków ryby i dusi powoli przez 20—30 minut. Wkońcu podlewa się rybę szklanką śmietany, rozkłuconej z łyżeczką mąki i zagotowuje, aby sos się „wysadził", tzn. zgęstniał. Z zrazów zdejmuje się nitki, wykłada wraz z sosem do głębszej salaterki i otacza makaronem, ryżem lub tartymi ziemniaczkami.

GRECKIE BEFSZTYKI. 30 dkg mięsa wołowego i 20 dkg tłustej baraniny paszcza się dwa razy przez młynek wraz z małą bułeczką, rozmoczoną i dobrze z wody wyciśniętą. Do mięsa dodaje się soli, 1 całe jaje, łyżkę smażonej cebulki i roztarty ząbek czosnku, nie brakujący w żadnej z mięsnych potraw narodów południowych. Z masy tej formuje się okrągłe grube befsztyki wielkości dłoni, osypuje je mąką i smaży z obu stron na oliwie, wzgl. maśle. Ogniotrwały półmisek smaruje się masłem, nakłada na nim warstwę duszonego ryżu, na którym drugą warstwę stanowić będą nasmażone befsztyki. Wszystko posypuje się kaparami, polewa śmietana, posypuje tartym parmezanem i zapieka w piecyku przez pół godziny.

KISIEL CZEKOLADOWY. 10 dkg czekolady rozgotowuje się w 1/2 litrze mleka z kawałkiem wanilji. 4 dkg mąki ziemniaczanej rozkłuca się w 1/8 litra mleka i wlewa, mieszając bezustannie na gotującą się czekoladę. Masę szybko gęstniejącą ubija się na ogniu przez parę minut, następnie wylewa do formy, wypłukanej zimną wodą i zastudza w chłodzie. Wyrzucony z formy na półmisek kisiel oblewa się gęstym kremem waniljowym, sporządzonym z 1/4 litra pełnego mleka lub śmietanki, w następujący sposób: Mleko zagotowuje się z strączkiem wanilji, rozciętym wzdłuż dla lepszego zużytkowania aromatu. Osobno uciera się 2 żółtka, łyżeczkę mąki i łyżkę cukru, wlewa na to gotujące mleko, rozcierając ciągle, poczem stawia się ponownie na ogniu i ubija tak długo, aż się krem zacznie podnosić, nie dopuszczając do zagotowania. Krem odstawiony szybko z ognia należy mieszać aż do ostudzenia, inaczej utworzy się na nim kożuch, który nie da się rozetrzeć i zepsuje wygląd kremu. Pokryty kremem kisiel, ubiera się konfiturą z truskawek lub malin.

CIASTO PTYSIOWE NA KNEDELKI. 1/4 litra mleka gotującego zasypuje się szklanką mąki, ubijając na ogniu przez chwilę, potem odstawione z ognia ubija się dalej aż do ostudzenia. Następnie dodaje się dwa jaja i uciera masę na gładko, poczem wykłada się ciasto na stolnicę posypaną mąką, kraje w małe kawałki, w które się zawija niedrelowane śliwki. Rzucone na gotującą słoną wodę gotuje się je przez 5 minut i wydaje posypane bułeczką z cukrem.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Krajanie gorącego mięsa sprawia gospodyni zawsze dużo kłopotu, gdyż nie obejdzie się zazwyczaj bez poparzenia palców. Najnowszy i wysoce praktyczny wynalazek w postaci obszernych szczypców, służących do przytrzymywania mięsa, usunie te trudności. Trzymając przy ich pomocy silnie mięso lewą ręką, możemy je prawą ręką wygodnie krajać.

Fot. Mundi, Amsterdam.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 47 — **Listopad** — 30 dni



NIEDZIELA **13** Stanisława K.	Zupa rakowa z ryżem.Pasztet zajęczy w kruchem cieście. Bażant lub indyczka z kompotem.Kisiel czekoladowy z kremem. Kolacja:Zając na zimno z sał
PONIEDZ. **14** Józefata	Zupa z brukselki.Kotleciki z dyni z sosem pomidorowym. Zrazy zwijane z grzybami. Jabłka smażone w cieście. Kolacja:Wątróbki duszone z ryżem.
WTOREK **15** Leopolda	Zupa neapolitańska.Papryka z pomidorami i jajami.Bruścik barani z marchewką.Kompot z gruszek i jabłek. Kolacja:Kapusta faszerowana.
ŚRODA **16** Edmunda	Barszcz na rosole z uszkami.Kotleciki z kalafiora.Kaczka w potrawie z kluseczkami.Szarlotka z jabłek. Kolacja:Rizotto z podróbkami.
CZWARTEK **17** Salomei	Zupa wątrobiana.Budyń jarzynowy.Wieprzowe carré z kapustą.Kruchy placek z owocami. Kolacja:Pasztet sarni na ciepło.
PIĄTEK **18** Ottona	Zupa perłówkowa na śmietanie.Budyń z ziemniaczków i jaj pieczony.Łosoś morski /mrożony/ z sosem chrzanowym.Omlety z serem. Kolacja:Pierożki z kapustą.
SOBOTA **19** Elżbiety wd.	Rosół z fasolką.Sztuka mięsa z ćwikłą.Paprykarz z baraniny z kluskami.Buchtle. Kolacja:Bigos.



HOCKI-KLOCKI

PRZYSŁOWIA W PRAKTYCZNEM ŻYCIU.



Lotnik do pasażera: Zna pan zapewne przysłowie „Zobaczyć Neapol, a potem umrzeć"? Więc niech pan dobrze przyjrzy się miastu, bo właśnie zapalił się nam motor... *(„Vu")*

PRZYJĘCIE U PINGWINÓW.



— Niech pan nas jutro odwiedzi... urządzamy małe przyjęcie!
— Chętnie! Oczywiście we fraku, jak zwykle... *(„Ric et Rac")*

Dokończenie ze str. 2-ej.

za nami". Pol, który uważał, że zwłoki jej godne są spocząć na Wawelu, skarżył się, że Polska w okresie powstania listopadowego „nie miała męża, a niewiastę miała". Hołd to najwyższy, oddany kobietom powstania listopadowego w osobie ich czołowej przedstawicielki.

Z plejady działaczek patrjotek — z powstania listopadowego, jak generałowe Sowińska czy Małachowska, Kicka czy kasztelanowa Nakwaska, czy wiele, wiele innych, na jedną jeszcze postać należy zwrócić uwagę. Jest nią kobieta, dla której powstanie stanowiło wielką tragedję osobistą — Marja z książąt Czartoryskich, księżna Wirtemberska. Autorkę „Malwiny", współtwórczynię Puław, gorącą patrjotkę, która przeżyła zdradę męża w powstaniu kościuszkowskiem, czekała w powstaniu listopadowem nowa hańba. Syn jej, dowodząc wojskami rosyjskiemi po dłuższem ostrzeliwaniu zdobył Puławy. Lecz na rozkaz cara z majątku skonfiskowanego matce miał jej oddawać część dochodu. Matka pieniędzy nie przyjęła, a syna się wyrzekła, kończąc list doń temi wstrząsającemi słowami: „Nie znam cię, nie mam już syna".

Ta matka — Spartanka, tak ciężko przez los doświadczona, to jeszcze jedna z cyklu wielkich Polek epoki powstania listopadowego, w którem kobieta Polka dowiodła, że gorąco Ojczyznę swą kocha i nie cofnie się przed żadnem poświęceniem dla jej szczęścia i wolności.

DOMYŚLNI.



— Ciekawa rzecz, że nikt nie odpowiada na dzwonek! *(„Vu")*

Rozwiązania z Nru 45-go.

REGATY.

Pani Bukowska prowadziła łódź p. Jaworskiego „Alka",
p. Jaworski prowadził łódź p. Grabowskiego „Mewa",
p. Klonowski prowadził łódź p. Bukowskiej,
p. Grabowski prowadził łódź p. Klonowskiego „Jaskółka",
p. Sosnowski prowadził łódź p. Wierzbowskiego „Albatros",
p. Wierzbowski prowadził łódź p. Dębowskiego,
p. Dębowski prowadził łódź p. Sosnowskiego „Rybitwę".

PAL.

Po odpiłowaniu wierzchołka $^1/_5$ pala pozostała w ziemi.

SZYBKOŚĆ KULI.

Szybkość kuli wynosiła 540 m/sek.

SZYFR.

Treść szyfru jest następująca: ZAJDŹ DO ADY ODDAJ JEJ ROZKAZ KAZKA.

A, B i C.

428 : 2 = 214; 214 : 2 = 107.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WODA I WINO.

Przy obiedzie prof. Ułamek rzekł do swego przyjaciela, prof. Mianownika: „W tej butelce jest kwarta wina. Nalewam z niej szklankę i przelewam do dzbanka, w którym jest kwarta wody. Teraz po wymieszaniu nalewam szklankę mieszaniny z dzbana do butelki z winem. Czego jest więcej: wody w butelce z winem, czy wina w dzbanku z wodą?"

CIĘŻKIE CZASY.

„Kochanie, będziemy musieli zredukować nasze wydatki" — rzekł mąż do żony. „Musimy oddalić ogrodnika, szofera i damę do towarzystwa".

„Ach, czy nie mógłbyś ich zatrzymać choć przez zimę" — zapytała żona. Mąż zrobił rachunek i przekonał się, że pieniędzmi, które obecnie posiadał, mógłby płacić albo ogrodnikowi przez 98 dni, albo szoferowi przez $36^3/_4$ dnia, lub damie do towarzystwa przez $29^2/_3$ dnia. Jednak ze względu na żonę postanowił trzymać całą trójkę dopóty, dopóki mu pozwolą pieniądze. Przez ile dni będzie mógł wypłacać pensję wszystkim trzem osobom?

O tak! - to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

LWÓW. Teatr Wielki wystawił komedję Edwarda Bourdeta pt. **„Ostatnia nowość"** w przekładzie Boy-Żeleńskiego, graną z powodzeniem przed paru laty w Teatrze Polskim w Warszawie. Rolę wydawcy paryskiego Moscata zagrał wybornie B. Samborski, który zbierał w niej oklaski w przedstawieniu warszawskiem. Z innych wykonawców wyróżnić trzeba Daczyńskiego, Oranowską, M. Węgrzyna i Leliwę. Dekoracje projektował p. Rożański. Całość wypadła bardzo składnie i żywo.

BYDGOSZCZ. Teatr Miejski zaprezentował dramat Tadeusza Rittnera **„W małym domku"**, w reżyserji dyr. Aleksandra Rodziewicza i w wykonaniu pp. Szafrańskiego (Doktór), Koronkiewiczówny (Marja), Malatyńskiego (Jurkiewicz), Skwierczyńskiego (nauczyciel), Domańskiej (Wanda), Sobotkowskiej (sędzina), Rosiana (sędzia). Wnętrza projektowali pp. Przeradzka i Jędrzejowicz.

WARSZAWA. Nowy program Wielkiej Rewji pt. **„Naprzód! Marsz!"** przynosi kilka dobrych obrazów taneczno-rewjowych (Alicja Halama, Kleszczówna, Konarski, Koziarski). Atrakcją programu jest Mira Zimińska, występująca jako pieśniarka w skeczach. Pozatem wymienić trzeba E. Bode.

NOWE KSIĄŻKI

„Wspomnienia Kaszuba z pod Verdun". Bernard Potrykus. (Wojskowy Inst. Nauk.-Oświat.) Literaturze „dokumentarnej" przybywa nowa pozycja: książka, napisana przez b. żołnierza wielkiej wojny, uczestnika walk na froncie zachodnim, z zawodu robotnika, zamieszkałego na Kaszubach. Jego wspomnienia, pisane stylem niewyszukanym, ale przemawiającym do czytelnika nie bez pewnej bezpośredniości, stanowią ciekawy dokument psychologiczny, zajmujący przyczynek do poznania psychiki żołnierza na froncie.

Bardzo znamiennie rysuje się we wspomnieniach owego Kaszuba sprawa posłuchu żołnierskiego. Otóż najważniejszą rzeczą, najpewniejszym środkiem do zapewnienia sobie posłuchu jest dobry przykład. Piękne słowa, często powtarzane, tracą wkrótce swoją siłę przekonania, stają się niejako pustym dźwiękiem, jeśli nie znajdują poparcia w czynach. P. Potrykus opowiada o wpływie, jaki miał na swych żołnierzy dowódca plutonu, „zastępca oficera" Winkler. Przemawiał on rzadko, zato swoją dzielną postawą więcej zdziałał, niż słowami. Jego obecność w najcięższych chwilach, podczas największego nasilenia ognia, działała krzepiąco, tak, iż bez szemrania spełniało jego polecenia, „bo Winkler tak kazał"...

Jakże przejmująca w swym wyrazie jest scena śmierci jednego z żołnierzy, opisana bez patetycznych słów, a przecież pozostawiająca na długo w pamięci: „Staliśmy niedaleko schodów, którymi właśnie znoszono rannego. Kiedy go złożyli na posłaniu, podniósł się, domagając się, by mu prędko podali papier i ołówek. — Dzielny chłop! — szepnął Winter — nie stęka jak inni, ale chce coś ważnego napisać. — Ranny słaby był bardzo, lecz ujął ołówek i począł pisać na desce, którą mu jeden pod rękami trzymał. Często się cały zakołysał, widać go siły opuszczały, a kiedy nadszedł sanitarjusz i przemówił do niego: — Pozwól no, żebym ci rękę opatrzył, to ci się lepiej będzie pisało — on uniósł tylko rękę na znak, żeby mu nie przeszkadzano. Wtedy sanitarjusz, widząc, jak walczy ze słabością, podtrzymał go z tyłu. Ale ledwo skończył pisać i uniósł trochę głowę, strumień krwi buchnął mu z ust, a on osunął się martwy na posłanie. Stanęliśmy dokoła niego milcząco z podziwem, bo rzadko się widzi tak silną wolę, jak u tego kaprala..."

Lucj. Rościszewski: „Sakramentem siódmym małżeństwo". Warszawa, „Rój". Powieść, która mogła być doskonała, zeszła niestety z pierwszych silnych i naprawdę interesujących fabułą stron na poziom sensacyjnego romansu. Nie wiemy oczywiście, czy takie właśnie było założenie autora, czy też nie starczyło mu sił, by odpowiednio rozwinąć myśli niewątpliwie ciekawe i mogące zyskać pewien oddźwięk. Przewodnią ideą autora było wykazanie nierozerwalności małżeństwa w „morale" małżonków mimo wszystkich okoliczności z jednej i z drugiej strony, którychby nie można żadną miarą nazwać łagodzącemi. Ale zadanie to zbyt trudne, by można było je rozwiązać w banalnych formach zwykłego romansu z wszystkiemi jego oklepanemi akcesorjami. Dlatego powieść **Lucjana Rościszewskiego „Sakramentem siódmym małżeństwo"**, wydaną przez **„Rój"**, zaliczyć trzeba do szczęśliwych prób, ale nieszczęśliwych osiągnięć.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 13 listopada.

12.03 Poranek symf. z Lodzi.
16.30 Utwory skrzypcowe w wykonaniu Ant. Szafranka.
17.30 Podwieczorek przy mikrofonie.
21.00 Koncert rozrywkowy — ze Lwowa.
21.40 „Porwanie Sabiny" — wesoła audycja z Katowic.

Poniedziałek, 14 listopada.

13.30 Pieśń ludowa i artystyczna.
16.35 Robert Schumann: Trio op. 110 — koncert z Katowic.
17.20 W muzykalnym domu — audycja muzyczna.
21.00 Koncert Orkiestry Polskiego Radja.
22.25 Recital fortepianowy Józefa Turczyńskiego.

Wtorek, 15 listopada.

16.30 Recital śpiewaczy Włodzimierza Derwiesa.
16.55 Utwory na dwa fortepiany.
17.30 Z pieśnią po kraju.
19.00 Koncert rozrywkowy z Torunia.
21.00 „Z teki polskich pieśniarzy" — koncert.
22.10 Audycja kameralna w wykonaniu węgierskiego kobiecego kwartetu smyczkowego.

Środa, 16 listopada.

16.35 Arje i pieśni Mozarta w wykonaniu Luby Lewickiej.
17.15 „Reportaże z baletów: „Król tancerz" — aud. muzyczna.
21.00 Koncert chopinowski w wykonaniu Raula Koczalskiego.
22.00 Wolfgang Amadeusz Mozart. koncert z płyt.

Czwartek, 17 listopada.

16.40 Polskie śpiewy historyczne — audycja słowno-muz.
17.35 Utwory fortepianowe w wykonaniu A. Brachockiego.
19.00 Koncert rozryw. ze Lwowa.
21.10 „Pola Elizejskie" — słuchowisko.
22.00 Koncert muzyki polskiej — w wykonaniu Ork. P. R.

Piatek, 18 listopada.

16.35 Pieśni w wykonaniu Sergjusza Benoniego z Wilna.
17.05 Utwory Griega w wykonaniu Ork. Smyczkowej Zw. Muz. Chrześc.
18.30 Teatr Wyobraźni: „Wyzdrowiał" — słuchowisko.
19.00 „O zmroku" — koncert wieczorny z Poznania.
21.00 Chór Polskiego Radja pod dyr. St. Nawrota.
21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.

Sobota, 19 listopada.

16.35 Koncert solistów ze Lwowa.
17.25 „Wlazł kotek na płotek i mruga" — aud. muz. liter.
19.15 Koncert rozrywkowy.
20.00 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego.
21.50 Koncert w wyk. Ork. Polskiego Radja.
23.15 Muzyka taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.